Krakowski skarb

Odkrycie Biskupina

Bitwa Warszawska

poszukiwania

Nr 06/2016 (23) sierpień 2016
www.poszukiwania.pl

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Redaktor naczelny:
Rafał Kruk
kruku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:
Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:
Yedyny
Andrzej Szutowicz

Zdjęcie na okładce i zdjęcia w artykułach, o ile nie zaznaczono inaczej:
archiwum Portalu Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:
redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:
redakcja@poszukiwania.pl

Reprodukcja i przedruk wyłącznie za zgodą autora. Gazeta działa na zasadach dziennikarstwa obywatel–skiego otwierając swoje łamy dla każdego autora.

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania dostarczonych tekstów.

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i artykułów sponsorowanych.

Wałbrzych ponownie za sprawą Złotego Pociągu znalazł się na ustach wszystkich poszukiwaczy skarbów i miłośników historii. Przyjemne szaleństwo eksploracji ściągnęło na miejsce ukrycia składu wielu dziennikarzy, którzy liczą na sensacyjne odkrycia. Ewentualny brak sukcesu w poszukiwaniach będzie zastąpiony dziesiątkami wywiadów z „autorytetami" mówiącymi „Wiedziałem, że tak będzie".
Już teraz na FB można śledzić wielu „internetowych" eksploratorów wraz z ich mądrościami.
Redakcja Poszukiwania.pl trzyma kciuki za sukces poszukiwań.

Czekam na Wasze opinie i sugestie. Piszcie do mnie kruku@poszukiwania.pl

Rafał Kruk

SPIS TREŚCI

4	Krakowski skarb
11	Z dziennika poszukiwacza cz.1
16	Tajemnica cmentarza
18	Szyb górniczy Bytom Miechowice
20	Ordery, odznaki i odznaczenia wojskowe cz. 6
22	Starożytne groby obok średniowiecznego zamku
25	Odkrycie Biskupina
29	Monety
31	Wyrok śmierci na Danucie Siedzikównie ps. Inka
32	Wejście do Gdańska pancernika Schleswig-Holstein
36	Łuski niemieckie 1940-1945. 7,92x57 Mauser, cz. 1
39	Bitwa Warszawska
47	Układ w Krewie
51	Bitwa pod Worsklą
56	Ustanowienie Krzyża Walecznych
58	Wybuch Powstania Warszawskiego
66	Pierwsza audycja radiostacji AK „Błyskawica”
68	Pierwszy rozbiór Polski
73	I Kompania Kadrowa
77	I zlot Mitsubishi
83	Fakty i mity o dronach
86	Jak oczyścić świat z min i starych pocisków
89	5 zwyczajów gastronomicznych
91	Porty Wysp Kanaryjskich

Krakowski skarb

Przeprowadzka

Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł. Kolejna przeprowadzka i związane z nią problemy… Ciężko jednak było znaleźć alternatywne wyjście z zaistniałej sytuacji. Właścicielka poprzedniego mieszkania nie pozostawiła nam wyboru – albo się wyprowadzamy, albo podniesie czynsz o 100%. Mimo tego, jakimś cudem było mi jej szkoda. Kobieta z zaawansowanym SM, od dawna na wózku inwalidzkim. Nic więc dziwnego, że jej zgorzkniałość i pretensje do całego świata osiągnęły taki, a nie inny pułap. W każdym bądź razie, decyzja została już podjęta, toteż trzeba było działać.

Wiedziałem, że Ania nie będzie zadowolona, aczkolwiek poradzi sobie bez problemu z naszą tułaczką. Co do Kamilki, nie miałem już takiej pewności. Nasza córka miała zaledwie czternaście miesięcy, a w ciągu jej krótkiego życia przeprowadzaliśmy się już dwukrotnie. Po części przyzwyczajona była do koczo-wniczego trybu życia, ale bez przesady! Miałem cichą nadzieję, że jednak nie odbije się to negatywnie na jej kruchej osóbce. Pocieszeniem był fakt, że przesypiała całe noce, pięknie jadła, śmiała się głośno i kwiliła praktycznie cały czas. Co za radosny bobas! Kochałem ją i jej mamę ponad życie…

Na szczęście Kraków jest dużym miastem, więc nie powinno być problemów ze znalezieniem odpowiedniego lokum dla naszej trójki. Właśnie przeglądałem przereklamowane serwisy internetowe w poszukiwaniu czegoś interesującego, gdy rozległ się dźwięk telefonu i poderwał mnie na równe nogi. Muszę zmienić ten dzwonek – pomyślałem po raz setny!. Nie miałem zbytniej ochoty z kimkolwiek rozmawiać, ale to była Ania.

- Co robisz? – zapytała w ten ciepły i radosny sposób, że od razu wiadomo było jak bardzo dobrą i kochającą była żoną i matką.
- Nic szczególnego – odparłem. – Próbuję znaleźć jakąś fajną miejscówkę – wycedziłem bez specjalnego entuzjazmu.

- Wiesz, bo wpadłam na fajny pomysł. Okolica jest super, może nie będziemy się daleko przeprowadzać? Wydrukuję dzisiaj wieczorem ogłoszenia, a jutro na spacerze z Kamilką rozkleimy je po słupach. Poczekamy parę dni, może ktoś się odezwie…

- No, w sumie można spróbować. Dużo to nie kosztuje, a zawsze te parę stówek, które poszłyby dla agencji, zostanie w kieszeni. Kiedy wracasz?
- Zrobię jeszcze zakupy i nadciągam. Myślę, że pół godzinki – powiedziała z radością w głosie.

- Super! Nie mogę się doczekać.

I było to całkiem szczere. Ilekroć wychodziła z domu, wiedziałem że wcześniej czy później będę za nią tęsknił. Z reguły było to wcześniej niż się spodziewałem. Poza tym starałem się nie kłamać w naszym związku. Prawdę powiedziawszy, nienawidziłem kłamców. Straciłem przez to paru kolegów z dzieciństwa. Po prostu nie mogłem umawiać się na piwo z ludźmi, którzy mnie wcześniej kłamali. A, jak mawiają, prawda – szybciej lub wolniej – zawsze wychodzi na jaw.

Nazajutrz porozwieszaliśmy ogłoszenia. Krążyliśmy po wszystkich zacisznych ulicach osiedla oficerskiego i rozklejaliśmy kartki gdzie

popadnie. Lubiłem tą okolicę – dużo drzew, cisza, stare kamienice – a wszystko to w ścisłym centrum miasta, zaledwie cztery kilometry od Sukiennic. Niektóre budynki wzniesione były ponad dwieście lat temu. Kawał historii, można by rzec.

Na pierwszy telefon nie musieliśmy długo czekać – zadzwonił jeszcze tego samego dnia po południu. Starszy człowiek chciał nam wynająć pięćdziesiąt metrów kwadratowych, nawet w przystępnej cenie. Tyle, że… na drugim końcu miasta! Kraków jest jednocześnie bardzo duży i strasznie mały, pomyślałem. Wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Żałowałem, że nie zapytałem jakim cudem wpadł na nasze ogłoszenie. Następny telefon był jeszcze ciekawszy: pani, miłym głosem, zapytała czy ogłoszenie jest nadal aktualne. Gdy Ania odpowiedziała, że tak – przedstawiła się jako funkcjonariusz Straży Miejskiej i uprzejmie zaprosiła nas na komisariat w celu odebrania mandatu za nielegalne rozklejanie ogłoszeń. Po tej przemiłej pani, dwa dni później telefon z ofertą odezwał się znowu. To było to! Jakaś parka wyprowadzała się z mieszkania w zacisznej uliczce, tylko 500 metrów od naszego dotychczasowego lokum. Ulica była cicha i zadrzewiona, z dwustuletnimi małymi kamieniczkami i domami jednorodzinnymi. Jeszcze tego samego dnia wybraliśmy się na wstępne oględziny. Na pierwszy rzut oka, kamienica nie zachęcała aby w niej zamieszkać: stare zniszczone ogrodzenie wydawało się nie wytrzymywać pod własnym ciężarem. Nie daliśmy jednak za wygraną i weszliśmy do środka. Mieszkanie było do remontu, czego jednak się spodziewaliśmy. Cena jak na tą okolicę, delikatnie mówiąc, niewygórowana – 1000 zł miesięcznie plus media. Za sześćdziesiąt metrów to naprawdę niewiele, pomyśleliśmy. Na komisariacie stawiliśmy się następnego ranka. Na nasze szczęście, wzięliśmy ze sobą naszą ukochaną córeczkę. Przyjmujący nas oficer straży miejskiej miał dziecko w podobnym wieku. Zamiast mandatu w wysokości pięciuset złotych, skończyło się na upomnieniu i nakazie ściągnięcia wszystkich ogłoszeń. Pouczenie przyjęliśmy z pokorą, jednak chodzić i zdzierać nawet nie mieliśmy zamiaru.

Dwa tygodnie później wkroczyłem do nowego mieszkania z wiertarkami, szlifierkami, wiadrami z farbą oraz innymi gadżetami, które miały mi pomóc choć w minimalnym stopniu przerobić norę na znośne lokum. Pracowałem dziesięć długich dni, ale opłacało się – efekt przeszedł moje oczekiwania. Mieszkanko okazało się jasne, ciepłe i co najważniejsze, dobrze się w nim czuliśmy. Bardzo podobały mi się piece, które na pewno planowałem uruchomić podczas nadchodzącej zimy. Przyzwyczajony jednak do mieszkania z centralnym ogrzewaniem, zastanawiałem się, gdzie będę trzymał opał, czym będę opalał i tym podobne.

Podczas remontu pierwszy raz miałem okazję zajrzeć na tył kamienicy. Moje zdziwienie nie miało granic, gdy zobaczyłem duży, zarośnięty ogród. Rzadko taka gratka zdarza się w centrum miasta – pomyślałem. Zaraz potem zapragnąłem wskoczyć tam z moim Rutusem Solarisem i dokładne spenetrować posesję.

Tak. Byłem zapalonym amatorem poszuki-wania skarbów. Dwa lata wcześniej postanowiłem zakupić wykrywacz i padło na Rutusa. Dużo czasu minęło zanim dogadałem się z tą piszczałką. Na początku kopałem wszędzie gdzie

miałem sygnał, jednak szybko nauczyłem się, że po pierwsze sygnał sygnałowi nie równy, a po drugie, że od nadmiernej podniety można nabawić się jakichś psychicznych dolegliwości. Postanowiłem wybrać się na zlot poszukiwaczy skarbów w Jedlince, co znacznie pomogło mi poznać mój wykrywacz i, co ważniejsze, poznać prawdziwych świrów z branży. Tam dopiero zrozumiałem, że też jestem świrem…

Jako że lubię wszelkiego rodzaju nory, rzeczą jasną było, że muszę zrobić rekonesans piwnic w kamienicy. Dostałem klucze do jednej z nich od właściciela mieszkania. Ostrzegł mnie od razu, że mogę spodziewać się tam wszystkich dobrodziejstw matki ziemi. Później stwierdziłem, że użyłbym innej nazwy: syf nie z tej ziemi. Wspólny mianownik jednak był. Piwnica była bardzo duża i ciekawa. Oprócz starego bojlera, który jakimś cudem nie dokonał żywota na złomie, moją szczególną uwagę zwróciła sterta starych dokumentów i papierzysk pieczołowicie upchana do stojącego w rogu kartonowego pudła. Nie zważając na fakt, że musiałem się sprężać, zacząłem wertować zmurszałe kartki papieru. Pośród zakurzonych gazet i starych maszynopisów, moją uwagę szczególnie zwróciła kartka niedbale wyrwana z jakiegoś zeszytu. Widniały na niej zaledwie cztery słowa i jedna liczba: OGRÓD. POŁUDNIOWO-ZACHODNI KRANIEC. 25. Już miałem przejść do następnego dokumentu, gdy poczułem lekkie mrowienie w brzuchu. Może to były wskazówki do miejsca ukrycia jakiegoś skarbu? W duchu skarciłem się za tę myśl. Może bardziej za to, że chyba nigdy nie dane mi było dorosnąć…

Tego wieczoru w rozmowie z Anią wspomniałem o znalezionej kartce:

- Wiesz co dziś znalazłem w piwnicy?

- Co takiego? Pewnie znowu jakieś żelastwo zwleczesz do domu – wycedziła z pomieszaniem szyderstwa i dezaprobaty w głosie.

- Tym razem to tylko papier – zaśmiałem się, co wywołało lekkie zdziwienie na jej twarzy. – Choć po części masz rację – może dzięki niemu trochę żelastwa przybędzie.

- Oj dzieciak, dzieciak. Znowu jakaś mapa prowadząca do skarbu?

- Chciałbym. Popatrz jednak na tą kartkę. Podałem jej niedbale złożony kawałek papieru, wyciągając go oczywiście z tylnej kieszeni spodni. Wzięła go i rozłożyła w milczeniu.

- Ogród. Południowo-zachodni kraniec.25. Co to niby ma znaczyć?

- Też chciałbym wiedzieć – odparłem melodyjnie smutnym tonem.

- Może to metry albo zwykłe kroki? – w jej głosie wyczułem lekkie zaciekawienie i pobudzenie.

- No nie wierzę. Chyba pierwszy raz w życiu zaczyna udzielać Ci się moje hobby.

- Czyżbyś coś ode mnie chciała? Znowu jakieś nieprzewidziane płatności? – zażartowałem.

- Przykro mi, że masz mnie za taką wyrachowaną jędzę. Tym razem Cię rozczaruję. Nic nie chcę. Po prostu jakoś tak mi to do gustu przypadło…

Rozmowa ta wystarczyła, żeby podnieść stopień mojej ciekawości o sto procent. Może Ania nie należała do ekspertów z dziedziny eksploracji w żadnym tego słowa znaczeniu, ale jedno było pewne: miała nosa, kobiecą intuicję czy

jakkolwiek inaczej by tego nie nazwać. Wiele razy „korzystałem” z jej daru – oczywiście zawsze z pożytkiem.

Wszelkie trudne do podjęcia decyzje konsultowałem z nią. Jak dotąd, nie zawiodłem się. Tym razem też było to ciekawe, bo z reguły w najlepszym wypadku śmiała się z moich „szczeniackich wybryków eksploratorskich”. Tak czy siak, byłem już pewien, że wcześniej czy później wbiję łopatę w naszym nowym-starym ogrodzie. To była tylko kwestia czasu, ochoty i zorganizowania. Wiedziałem, że nie ma co zabierać się do poszukiwań bez entuzjazmu, bo nawet najlepsze miejsce w takim wypadku nie sprzedaje żadnych fantów. I odwrotnie: jeśli jest nadzieja i ochota, nawet na śmietnisku można znaleźć prawdziwe skarby. Co prawda, wykrywacz nie jest wtedy konieczny do szczęścia… Wielogodzinne „łopaciane” wycieczki po lasach nauczyły mnie, że entuzjazm i pozytywne myślenie to pięćdziesiąt procent sukcesu. Warto więc było poczekać nawet kilka dni, żeby nie było falstartu.

Ogród

Te kilka dni upłynęło nam na przeprowadzce. Pomimo całego rozgardiaszu obecnego przy każdym tego typu przedsięwzięciu, nie mogłem pozbyć się myśli o potencjalnym skarbie czekającym na tyłach kamienicy. Kiedy wszystkie graty wylądowały na swoim miejscu, postanowiłem znaleźć coś, co przybliżyłoby mi historię budynku, do którego tak pięknie ślepe zrządzenie losu zaprowadziło naszą całą rodzinkę. Niestety w lokalnej bibliotece nie znalazłem żadnych informacji. Nie zniechęcony początkową porażką, w pełni nadziei udałem się do Biblioteki Jagiellońskiej, gdzie podobno jest wszystko. Insza inszość, że wszystkie biblioteki uważałem za swego rodzaju labirynty, w których naprawdę ciężko jest się odnaleźć, rodem z książki Umberto Eco – „Imię róży”. Moją fobię potwierdza fakt, że podczas całego okresu moich studiów na Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, uczelnianą bibliotekę odwiedziłem tylko raz - bynajmniej nie po to aby wypożyczyć w niej książki. W sumie to nie miałem pojęcia skąd ten strach, gdyż za dzieciaka czytanie było moją pasją, a nawet teraz w dobie elektronicznych gadżetów, Internetu i ściąganych z niego filmów w formacie DivX, uwielbiałem siadać popołudniami w fotelu z małym wiaderkiem herbaty i czytać. Choć w Bibliotece Jagiellońskiej nie udało mi się znaleźć nic na temat tej konkretnej kamienicy, to jednak wizytę tam uważałem za bardzo udaną. Podróże kształcą, jak mawiają, a podczas mojej karkołomnej wyprawy do tego gmaszyska, dowiedziałem się, że za drobną opłatą można nagrać na płytę CD praktycznie każdą starą mapę, która znajdowała się w bibliotece. A map tych jest tam całkiem sporo. Po drugim niepowodzeniu postanowiłem zmienić taktykę. Od dawien dawna wiadomo, że najlepszym sposobem na poznanie historii jakiegokolwiek miejsca jest udanie się do niego i znalezienie najstarszej osoby, oczywiście takiej, która będzie w stanie cokolwiek sobie przypomnieć i opowiedzieć. Na szczęście nie musiałem daleko szukać.

W kamienicy mieszkała dziewięćdziesięciuletnia babcia, która na pewno musiała znać historię tego miejsca. Gdy zapukałem do jej drzwi i zaoferowałem wyrzucenie śmieci i zrobienie zakupów, popatrzyła na mnie, jakbym się urwał z choinki. W sumie to nie dziwiłem jej się ani trochę… Nie doświadczyłem aktu dobrej

woli, odkąd wystąpiłem z harcerstwa dwadzieścia lat wcześniej. Nawet ustępowanie miejsca
w autobusie ludziom starszym w dzisiejszych czasach należało do obciachu, nie mówiąc już o większych poświęceniach, będących wyrazem bezinteresowności i empatii wobec drugiego człowieka. W każdym razie, dopiero kiedy przedstawiłem się jako nowy sąsiad, jej twarz rozpromieniła się. Kiedy drżącymi rękami oddawała mi worek ze śmieciami, oznajmiła że stawia herbatę.

Z wizyty u babci nie wyniosłem zbyt wiele informacji, ale to czego się dowiedziałem było niezwykle ciekawe: okazało się, że niegdyś kamienica należała do niejakiego Ignacego Kriegera, który swego czasu uchodził za wybitnego krakowskiego fotografa.
Z niejasnych relacji starszej kobiety wynikało, że Krieger przed wojną i podczas jej trwania dużo podróżował, gdyż nie musiał się obawiać niczego złego ani ze strony okupacji niemieckiej, ani ze strony naszych „sojuszników" zza wschodniej granicy. Jednak dlaczego tak było, kobiecina nie potrafiła wyjaśnić. Wiadomo tylko, że stary już Krieger zniknął pewnej zimowej nocy w roku 1947 albo 1948 w niewyjaśnionych okolicznościach. Informacja ta była kolejną kroplą oliwy dolaną do ognia mojego zaciekawienia…

Następnego dnia postanowiłem przyjrzeć się wszystkim lokatorom budynku pod kątem ciekawskości i innych niekorzystnych dla poszukiwaczy cech i zachowań. Ku mojej radości, oprócz bogatej samotnej matki
z małym dzieckiem i trzech kancelarii prawniczych kończących pracę o siedemnastej, nie było potencjalnych zagrożeń dla eksploratora. Musiałem tylko wymyślić pretekst, pod którym poprowadziłbym ewentualne wykopki… Długo myśleć nie musiałem. Poszedłem do wszystkich lokatorów z wiadomością iż chętnie któregoś dnia
z własnej inicjatywy i - co najważniejsze – nieodpłatnie, doprowadzę ogródek do porządku. Jako że nie chciałem za to pieniędzy ani pomocy, nikt nie miał nic przeciwko mojemu przedsięwzięciu. Pod takim względem na ludzi zawsze można liczyć.

Moja ciekawość wydawała się już nie mieć granic, więc zdecydowałem, że wykopki rozpocznę następnego dnia rano. Pozostawała kwestia jak to rozwiązać. Czy najpierw przerzucić ziemię w całym ogrodzie, czy może lepiej zacząć od dziur? Postanowiłem wybrać opcję numer dwa, a gdy ktoś będzie pytał po co takie wielkie doły, to odpowiem, że usuwałem korzenie starych drzew. Była to dość sensowna wersja i zamierzałem się jej twardo trzymać.

Budzik zadzwonił o siódmej rano, ale ja już nie spałem od paru ładnych chwil. Wiedząc, że czeka mnie machanie łopatą, zjadłem dużą jajecznicę, popijając ją jeszcze większym kubkiem jak zawsze wyśmienitej z rana czarnej kawy. Nie minęło piętnaście minut,
a ja byłem już w piwnicy zabierając mój cały klamot poszukiwacza: łopatę, wykrywacz oraz małego krecika do namierzania drobnych fantów w wykopanej ziemi. Gdy go kupowałem, nie miałem pojęcia, że będzie aż tak pomocny. Zdecydowanie skracał moje poszukiwania i wiedziałem, że tego dnia nie będzie inaczej.

Mając na uwadze zapiski ze starej kartki, postanowiłem zacząć od południowo-zachodniego krańca ogrodu, w czym była pewna logika. Po włączeniu wykrywacza
i ustawieniu go na tryb dynamiczny, zacząłem energicznie omiatać sondą wysokie trawska wokół starej ławki na tyłach ogrodu. Po dziesięciu minutach byłem święcie przekonany, że nadeszła ta przerażająca chwila, kiedy mój wykrywacz uległ awarii. Nigdy nie zdarza się, żeby nie usłyszeć ani jednego piśnięcia przez dziesięć minut, a to właśnie się działo – i to w moim wydaniu. Nie zastanawiając się zbyt długo, wyjąłem z kieszeni spodni monetę pięciogroszową i rzuciłem ją w trawę. Gdy omiotłem to miejsce, usłyszałem znajomy czysty wysoki pisk. Wniosek był jeden – wykrywacz jeszcze działał. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak ogród w centrum miasta uchował się od meneli, skoroświtów, studentów i innych pacjentów, którzy nade wszystko lubią piwo – czy to kapslowane, czy to w puszkach ze znienawidzonymi przeze mnie zawleczkami.

Po raz kolejny postanowiłem zmienić taktykę i pierwszy raz od nie pamiętam kiedy przełączyłem wykrywacz w tryb statyczny. Po

niespełna pięciu minutach namierzyłem jedno miejsce, w którym wykrywacz zdawał się reagować inaczej. Bez namysłu złapałem za łopatę i gorączkowo zacząłem kopać. Po odkryciu wierzchniej warstwy ziemi, okazało się, że mój przyrząd do kopania nie przyda się na wiele. Pełno tu było kamieni i skał, co było kolejną zastanawiającą rzeczą. Bez wątpienia potrzebowałem kilofa! Co prawda nigdy nie próbowałem, ale podejrzewałem, że wyłożyczenie kilofa w centrum Krakowa o ósmej rano stanowiło nie lada wyzwanie. W nadziei, że dobra passa się nie skończyła, wróciłem do piwnicy. Po kolejnej chwili okazało się, że miałem szczęście – w najciemniejszym jej rogu, oparty o ścianę stał duży, sędziwy kilof. Pospiesznie chwyciłem go i praktycznie biegiem wróciłem do ogródka.

Kolejne dwa kwadranse upłynęły na mozolnym machaniu kilofem. Pomimo, że dokopałem się na głębokość około pół metra, nie napotkałem na nic, co mogłoby nosić znamiona jakiegokolwiek skarbu, czy nawet żelastwa. Gdy już powoli traciłem nadzieję, wziąłem do reki wykrywacz i w trybie dynamicznym zacząłem poruszać sondą w ciasnym otworze. Tym razem odezwał się pięknym, czystym, wysokim tonem. Na tym etapie byłem już pewien, że coś tam jest. Po następnych pięciu minutach odgrzebywania kamienistej ziemi, moim oczom ukazała się sporych rozmiarów skrzynia. Nie wierzyłem własnym oczom. Czyżbym rzeczywiście natrafił na jakiś skarb!?

Takie rzeczy przytrafiają się raz w życiu, i to nielicznym! Pośpiesznie zacząłem odgrzebywać kufer, wyobrażając sobie stosy złotych monet, biżuterii i innych drogocennych przedmiotów, tak jak to zawsze widziałem na filmach.

Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim udało się na tyle poszerzyć otwór, żeby na siłę wytargać skrzynię do góry. Pierwszym moją myślą było żeby rozpiąć skórzane paski, którymi domknięte było wieko. Na szczęście, zdrowy rozsądek wziął górę i zatargałem znalezisko do piwnicy. Dopiero tam, w słabym świetle żarówki, przyjrzałem się znalezisku. Ku mojemu zdumieniu, skrzynia była w bardzo dobrym stanie. Nawet paski nie były zmurszałe. Powoli, trzęsącymi rękami odpiąłem oba i uchyliłem wieko… Moim oczom ukazał się niesamowity widok.

Na samym wierzchu kufra spoczywała lekko uchylona szkatułka wypełniona po brzegi monetami. Zaparło mi dech w piersiach. Rzeczywiście znalazłem skarb! Uchyliłem wieko szkatułki i wyciągnąłem jedną z monet. Jak się później okazało, była to antyczna złota moneta pochodząca z Grecji.

Podobnie jak reszta w szkatułce… W tym momencie chciałem krzyknąć, ale w porę opanowałem się, nie chcąc sprowadzać do piwnicy nieproszonych gości. Wyciągnąłem szkatułkę i odłożyłem ją na bok. Skrzynia zapełniona była papierami – starymi obligacjami, aktami własności i przerwo-jennymi gazetami. Skrzętnie wyciągałem wszystkie dokumenty, starając się niczego nie uszkodzić. Po chwili moim oczom ukazał się pokaźniej wielkości

przedmiot przypominający koronę. Późniejsze oględziny poparte parogodzinnym szperaniem po Internecie pozwoliły stwierdzić, iż była to korona niemieckich królów, pochodząca z około 1300. roku.

Ostrożnie wyciągnąłem wysadzane drogimi kamieniami złote cacko i kontynuowałem wyciąganie dokumentów, gazet i innych papierzysk. Tego, co po chwili zobaczyłem, nie spodziewałem się ujrzeć w najśmielszych snach: trzymałem w rękach nic innego, jak jajko Faberge – dzieło sztuki jubilerskiej, wykonane dla członków rodziny carskiej Aleksandra III Romanowa. Nie wierzyłem, że było prawdziwe. Z pięćdziesięciu czterech jaj, do dzisiejszych czasów ostało się czterdzieści i były one rozproszone po całym świecie w muzeach i prywatnych kolekcjach. Następnego dnia byłem jedynym człowiekiem, który wiedział, że jaj jednak było czterdzieści jeden…

Kraków 2009r.

Foto: autor

Epilog

Tamtego dnia miałem szczere chęci udać się na najbliższy komisariat Policji i wszystko oddać w ręce stróżów prawa. Zaczęły mną jednak targać wątpliwości, czy aby na pewno znalezione przeze mnie dzieła sztuki będą otoczone należytą opieką i czy nic nie zginie. Pozostawało też pytanie, czy dostanę list pochwalny, czy może wezwanie od prokuratury. Szczerze powiedziawszy wachlarz opcji nie był za ciekawy. Postanowiłem poważnie zastanowić się nad następnym krokiem, w myśl dobrze znanego porzekadła: „Co nagle, to po diable". Jednak w miarę jak mijał dzień za dniem, ogarniała mnie coraz większa ochota zatrzymania znaleziska dla siebie. Z drugiej strony wiedziałem, że było to nie tylko nieuczciwe, ale moralnie naganne.

Dwa tygodnie po wykopaniu skrzyni, zabezpieczyłem ją najlepszym wodoodpornym materiałem jaki znalazłem w sklepie budowlanym i zakopałem dokładnie w tym samym miejscu gdzie znalazłem. Każdego dnia myślę o tym bezcennym skarbie, spoczywającym zaledwie osiemdziesiąt centymetrów pod ziemią, trzydzieści metrów w linii prostej od wynajmowanego przez nas mieszkania. Być może pewnego dnia nabiorę odwagi cywilnej, aby oddać go w ręce władz. Być może…

Z dziennika poszukiwacza cz.1

Nie jest to opowiadanie tylko fragment dziennika, który prowadzę od kilku lat. Opisane zdarzenie miało miejsce w marcu 2007 roku na Dolnym Śląsku. Na prośbę mieszkańców osady, w której „rozgrywa się akcja" nie podaje jej nazwy, a także pomijam wszelkie informacje, które pomogłyby w identyfikacji. Na potrzeby tej relacji będę nazywał ją X.

Historia zaczyna się prozaicznie, dałem ogłoszenie do lokalnego dziennika, "odnajdę ukryte pamiątki, skarby." Po kilku dniach zadzwonił telefon, pan wypytał o doświadczenie, sukcesy, sprzęt…, poprosił o adres mailowy i powiedział, że nazywa się Adam.
Już zapomniałem o telefonie od pana Adama, gdy dostałem od Niego mailika. Pisał m.in., że w latach 1945 do 1954 mieszkał w X i ma ciekawe informacje na temat konwojów z „FESTUN BRESLAU".

Nie musze Wam pisać jak wzrosło mi ciśnienie. Pan Adam niewiele chciał napisać natomiast zaproponował wspólny wyjazd - oczywiście zgodziłem się w ciemno. Zadzwonił po kilku dniach i ustaliliśmy termin wyjazdu, plus kilka szczegółów.
Zaplanowaliśmy wyjazd na ostatni weekend marca, dokładnie czwartkowe popołudnie, Pana Adama zbierzemy z Bytomia po drodze do X, ze mną jedzie Kris i Mały.
W ciągu kilku dni przeczytałem raz jeszcze wszystko o dolnośląskich konwojach z okresu końca wojny. Już w poniedziałek byłem spakowany i nie mogłem o niczym innym myśleć… liczyłem godziny do wyjazdu….
W środę wieczór zadzwonił pan Adam, powiedział:
- Nie mogę jechać, jedźcie sami w X zgłoście się do /tutaj podał adres i nazwisko/ ostatni dom po prawej. Jochan wam wszystko powie, jest moim przyjacielem.
- Zapisałeś? - spytał.
- Acha, jak będziecie na miejscu to spytaj Jochana co mu przyniósł rudy zając?
Potwierdziłem i spytałem: - czy coś się stało?
- Tak będzie lepiej i … bezpieczniej - powiedział i odłożył słuchawkę.
Oddzwoniłem i okazało się, że dzwonił z automatu. Nie wiedziałem co o tym myśleć. Zacząłem się zastanawiać czy to nie są jakiś głupie żarty….

Czwartek wieczór, jadę po Krisa i Małego. W drodze do Bytomia opowiadam im o telefonie od pana Adama. Nie wiemy co myśleć, Kris sugeruje aby pojechać do Bytomia na miejsce gdzie wcześniej byliśmy z nim umówieni. Jedziemy.

Pod podanym adresem znajdujemy kwiaciarnię. O Adamie nikt nie słyszał. Zastanawiamy się co robić, czy ktoś robi sobie jaja, czy licho wie co..?
Jednak postanawiamy jechać, pojedziemy do X, jak tam nic nie wyjdzie to w okolicach jest wiele innych ciekawych miejsc. Chłopcy dla poratowania psychiki wyciągnęli flaszki no i zaczęła się podróż, dla mnie jazda, dla nich impreza.
Pierwszy przystanek w Jeleniej, krótkie spotkanie z dawnymi znajomymi uzupełnienie barku i w drogę. Po ok. godzinie dojechaliśmy do skrzyżowania z drogowskazem na X. Ostatnia prosta i w „domu" - no chyba, że p. Adam zrobił nas w c***a.
Droga, którą jechaliśmy, las po lewej, małe jeziorko, brzózki wszystko się zgadzało z opisem, chłopcy już spali, zmęczeni podróżą. W światłach reflektorów na wysokości kapliczki zobaczyłem idących lewą stroną dwóch facetów,

wracają z knajpy – pomyślałem i zwolniłem, ale nie, nie śpiewali i nie zataczali się, aż dziwne. Zrównałem się z nimi i przez otwarte okno spytałem czy to droga do X, jeden z nich machnął ręką na wprost. Ruszyłem i wtedy Mały spytał;
- Jesteśmy na poligonie?

- Zaraz, będziemy na miejscu – powiedziałem Droga skręciła w lewo i ukazały się zabudowania. Ostatni dom po prawej był jedynym, w którym jeszcze świeciło się światło. Zatrzymałem auto, ogłosiłem pobudkę i poszedłem do domu. Nim zapukałem drzwi się otworzyły i stanęła w nich uśmiechnięta kobieta.

- Jesteście od Adama? – spytała

- Tak! - powiedziałem z radością.

- Zapraszam, czekamy na was – i ruszyła do środka, poszedłem za nią. W świetle zobaczyłem jej bardzo ładną trochę piegowatą twarz.

- Przygotowałam dla was, kaszankę z cebulą, jeśli oczywiście jesteście głodni?

- Już mi leci ślinka.

- Sami pieczemy chleb, powinien wam smakować.

Chciałem ją uściskać, kaszanka, cebulka, świeży chleb. Jesteśmy w niebie pomyślałem. Do domu weszli Mały i Kris.

- Ingrid – przedstawiła się gospodyni - Zaraz przyjdzie mój dziadek, poszedł po swoją nalewkę.

Jakoś znów przeszło mi przez głowę, że jesteśmy w niebie, a ta śliczna kobieta jest aniołem, po twarzach moich kolegów było widać, że myślą podobnie. Gdy my pałaszowaliśmy kaszankę jak na jakiś wyścigach, Ingrid stała i cały czas się uśmiechała.
Wszedł dziadek, uśmiechnął się.

- Jestem Jochan, tutaj wszyscy mówimy sobie po imieniu.

- Mojej roboty wiśnióweczka, spróbujecie? – pytanie było z tych retorycznych…

Była pieruńsko mocna ale pyszna. Opowiedzieliśmy o dziwnym telefonie p. Adama, o tym, że tak nagle odwołał wyjazd. Jochan nie skomentował tylko kiwnął głową i nalał po „maluchu”.

- Jak wam się udała podróż, nie błądziliście? - spytał

- Bez problemów tylko na samym końcu spytałem o drogę - odpowiedziałem.

- A jeszcze jedno p. Adam prosił aby spytać „co przyniósł rudy zając”?

- Mmhhh, a gdzie pytaliście o drogę?

- Przy kapliczce.

Zobaczyłem, że plecy Ingrid zmywającej przy zlewie wyprostowały się gwałtownie, a dłonie przestały się poruszać, Jochan również znieruchomiał.

- GDZIE DOKŁADNIE?

- W lesie za brzózkami przed zakrętem…

- KOGO PYTALIŚCIE?

- Jakiś dwóch facetów…

- JAK WYGLĄDALI?

- Jak żołnierze - powiedział Mały. Ingrid wyszła wycierając ręce w ściereczkę nie zakręcając wody. Dziwne – pomyślałem.

- A DOKŁADNIE?

- Długie jakby wojskowe płaszcze.

- Czas spać, wasz pokój jest na górze, dobrej nocy - powiedział Jochan i wyszedł.

Popatrzyliśmy po sobie i poszliśmy na górę. Pokój był mały, ale bardzo przytulny. Chwilę jeszcze pogadaliśmy i przyszedł sen. Rano obudziła nas Ingrid wołając na śniadanie. Była

jajecznica na boczku. I jeszcze ciepły chlebek. Niebo, byliśmy w niebie!!

Próbowaliśmy rozmawiać z Ingrid, ale była bardzo małomówna, powiedziała, że zaraz przyjdzie dziadek. Dziadek zapukał w okno i zawołał nas do szopy. Po przywitaniu dał nam rowery i kazał jechać za sobą. Trochę dziwne, ale może w Niebie są takie zwyczaje. Po ok. 20 minutach jazdy stanęliśmy obok kapliczki.

- To tu wczoraj pytałeś o drogę?

- Tak tutaj.

- Chodźcie coś wam pokażę.

Poszliśmy w głąb lasu ok. 100 m. Zobaczyliśmy małą mogiłę z krzyżem i tabliczką z dwoma niemiecki nazwiskami: J. Wolf i E. Fischer 23. 02. 1945.

- To ich spotkaliście wczoraj - powiedział cicho Jochan.

Po chwili ciszy Mały spytał:

- Słucham…?

Jochan siadł na trawie wyjął swoja nalewkę, nalał do szklaneczki, podał Małemu i powiedział:

- W lutym 1945 w osadzie pojawiło się dwóch niemieckich żołnierzy – dezerterów z „Festung Breslau". Byli oficerami przebranymi w mundury szeregowców. Prawdziwych nazwisk nigdy nie ujawnili, znał je tylko Adam. Jak twierdzili dla własnego bezpieczeństwa, mieszkańców X i dla swoich rodzin. Opowiadali, że już dawno przestali wierzyć w Hitlera i Wielkie Niemcy, wraz z grupą przyjaciół zaplanowali zamach na Hitlera. Niestety zamach się nie powiódł, większość zamachowców została rozstrzelana, część powieszona, rodziny trafiły do obozów. Im udało się ujść z życiem. Opowiadali o tym jak wielokrotnie jeden z ich przyjaciół wtajemniczony z plany zamachu próbował się skontaktować z ze służbami wywiadu Anglii i USA na terenie neutralnej Szwajcarii. Chciał przekazać im informację o planowanym zamachu, poinformować, że w Niemczech jest opozycja w stosunku do Hitlera i prosić o pomoc. Niestety alianci nie byli tym absolutnie zainteresowani i nie wierzyli w to. Zamachowcy zostali pozostawieni sami sobie.

Gdy Gen.Hans von Ahlfen po tym jak Johanes Krause się „rozchorował" zostaje komendantem „Festung Breslau". Wydaje rozkaz „naszym dwóm oficerom", dotyczący wywozu z „FB" pewnej ilości złota i wyrobów jubilerskich z miasta. Mają ten majątek ukryć. Tak aby „kiedyś" mógł zostać spieniężony i służył rodzinom wszystkich tych, którzy ucierpieli w związku z represjami po zamachu na Hitlera. Adam, rozpoczął nowy wątek p. Jochan, - był osobą, która wiedziała bardzo dużo o tej historii. W 1947 roku trafił do wiezienia UB w Jeleniej Górze chyba przy ul. Gruttgera, siedział tam do 1951 roku.

Gdy wyszedł niewiele opowiadał……. W 1954 wyjechał do Bytomia, ponoć był tam Ktoś, kto mógł mu pomóc. Adam zmienił nazwisko, całą tożsamość. Nie odzywał się całe lata, myślałem, że nie żyje….. Pojawił się w 1974 lub 75, nie poznałem go. Opowiadał, że ciągle się boi, że to co wie może doprowadzić go do grobu. Chodziło o tajemnice, które przekazali mu oficerowie. Zostawił mi kopertę z prośbą o dobre jej ukrycie, i powiedział, że ktoś się po nią zgłosi i poda hasło. Prosił mnie, abym temu komuś pomógł ze wszystkich sił. Od przeszło 30 lat czekałem na kogoś od Adama albo na niego samego i dopiero dziś jesteście….

- Ale my nie znamy p. Adama.

- Ale znaliście hasło!

- ?????

- „Rudy zając"

Zbaraniałem, Mały i Kris również wyglądali dziwnie.

- Ale co to wszystko znaczy ? – spytałem

- To znaczy, że idziemy po kopertę! Po drodze Jochan opowiedział nam co wydarzyło się 22.02.1945. Oficerowie

w przebraniu szeregowców wracali z X do leśniczówki w lesie, gdzie się ukrywali. I wtedy nadjechał motocykl z koszem, a nim trzech niemieckich oficerów, prawdopodobnie z SS, zatrzymali się kazali pokazać dokumenty, a następnie stwierdzili, że „nasi" żołnierze to dezerterzy i na miejscu, właśnie koło tej kapliczki ich zastrzelili. Mieszkańcy X często spotykają ich błąkające się dusze - powiedział.

Tutaj pominę kilka szczegółów, powiem tylko, że po przeczytaniu listu, udaliśmy się na nieistniejącą już stacje kolejki wąskotorowej, tam dzięki szczegółowej instrukcji udało nam się dostać do niewielkiego bardzo dobrze ukrytego pomieszczenia.
Jochan, Kris, Mały i ja staliśmy bez ruchu bardzo długo, czegoś takiego jeszcze nie widziałem….
Pod ścianami stały równo pokładane skrzynki, na nich, nieduże lniane worki do każdego z nich przyczepiona była karteczka, na której było napisane co jest w środku np. dolary, i podana ilość, funty…itd. W skrzynkach była biżuteria również bardzo dokładnie opisana. W sumie było 18 skrzynek, 11 worków i jedna dość duża metalowa kasetka z kluczykiem w zamku. Baliśmy się otworzyć kasetkę niepewni czy to nie jest pułapka, może niezbyt rozsądnie ale jednak zdecydowaliśmy się na otwarcie. W środku były dokumenty. Na samej górze leżała otwarta koperta, była w niej prośba aby majątek tutaj zgromadzony przekazać solidarnie wszystkim rodzinom z zamieszczonej poniżej listy, było tam 26 nazwisk. Większości nie znałem ale jedno tak – Canaris, nie Wilhelm bo ten został zamordowany przez Gestapo, ale Otto. Jeśli to jest rodzina, to jedna z największych zagadek II WŚ - czy W. Canaris uczestniczył w spisku przeciw Hitlerowi - została rozwiązana!

Od tych zdarzeń minęło 2 lata, dużo się w tym czasie działo. Po pierwsza niestety zmarł p. Adam co też miało decydujący wpływ na możliwość upublicznienia powyższych zdarzeń. Po drugie pieniądze i kosztowności trafiły do rodzin tych odważnych oficerów, którzy nie dbając o swoje bezpieczeństwo starali się pozbyć Hitlera i zakończyć II WŚ szybciej, ratując miliony istnień na cały świecie. Po trzecie dokumenty trafiły do dwóch właściwych instytucji w Niemczech i w Polsce celem tłumaczenia i historycznego opracowania. Pod koniec tego roku ma ukazać się obszerne opracowanie na ten temat. Mały, Kris i ja przeżyliśmy najwspanialszą przygodę naszego życia, niezapomnianą lekcję historii, staliśmy się nawet jej częścią.

I co najważniejsze poznaliśmy WSPANIAŁYCH ludzi INGRID i JOCHANA. Nie dane nam było nigdy niestety osobiście poznać osobiście p. Adama.
Bez Tych trzech osób, bez ich bezgranicznej uczciwości i nieprawdopodobnej odwadze rozkaz Gen. Hansa von Ahlfena nie doczekałby się realizacji. Na prośbę uczestników tych zdarzeń zmieniłem Ich imiona, a także pominąłem wiele szczegółów

P.S..
Z częścią 26 rodzin z listy utrzymujemy kontakty i na Ich wyraźną prośbę składam raz jeszcze PODZIĘKOWANIA DLA p. ADAMA, JOCHANA i INGRID.

Andrzej Tchórzewski

SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII

WKRÓTCE

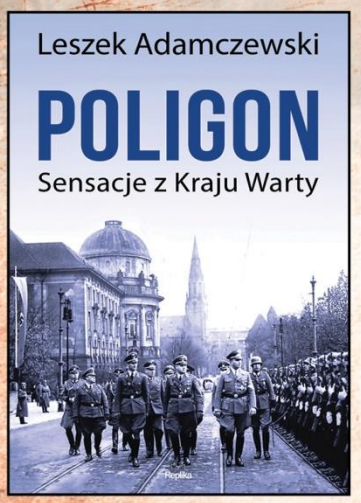

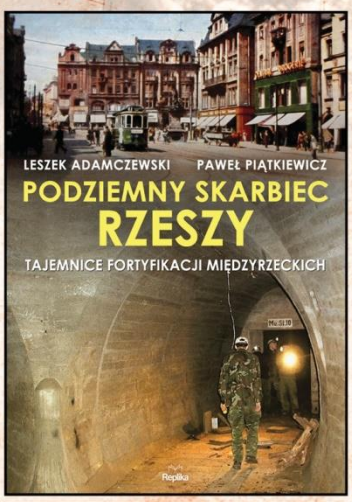

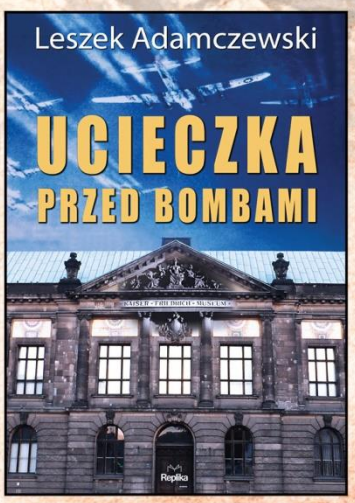

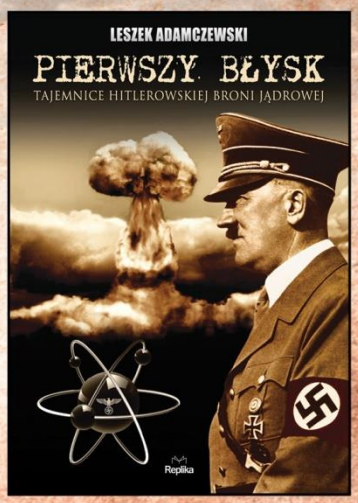

Replika
HISTORIA

Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu

Replika
www.replika.eu

Tajemnica cmentarza

Zupełnie przypadkiem wpadła mi w ręce pewna stara mapa. Chciałem kupić ją od człowieka, u którego była, niestety nie chciał sprzedać. Była to kolorowa mapa bliskich mi terenów, często odwiedzanych przeze mnie z wykrywaczem. Na szczęście mogłem zrobić ksero mapy. Było na niej sporo adnotacji czerwonym atramentem. Pismo eleganckie i równe wskazywało na wykształconego człowieka. Zaznaczonych było kilka miejsc kółkiem lub strzałką. Studiując mapę na początku nie trafiłem na nic ciekawego. Wszystkie opisy i zaznaczenia miejsc były mi znane. Bywałem tam z wykrywką, ale efekty były mizerne. Mapa była datowana na 1937 rok, a adnotacja na górze brzmiała "zaadoptowano na potrzeby wojskowe - VIII 1939 roku.” Było więcej dopisków nieznanego autora, ale nie miały charakteru ciekawostki, czy jakiejś tajemnicy. Porównałem ją z aktualnymi oraz innymi starymi mapami i tu pojawiły się ciekawostki. Najpierw znalazłem kilkanaście dróg występujących na starej mapie, a w aktualnych tylko lasy w tych miejscach. Później zobaczyłem typowe oznaczenie cmentarza na skraju jednej z miejscowości. Muszę tu jeszcze zaznaczyć, że na tym terenie do 1947 było 14 wsi. Zostały wysiedlone siłą na ziemie zachodnie, a miejsce po nich zalesione. Ten cmentarz mnie zaintrygował, gdyż bywałem nie jeden raz w tamtym rejonie i nigdy nie widziałem aby coś tam było.

Pojechałem z kumplem na miejsce. Po wiosce zostało tylko kilka starych, owocowych drzew i jedna studnia, teraz zasypana. W miejscu gdzie według mapy miałby się znajdować cmentarz było tylko las i krzaki. Nic nie znaleźliśmy. Postanowiłem pojechać do pewnej gminnej miejscowości - G., gdzie w strukturach władzy gminy pracował mój przyjaciel. Spytałem go czy pomoże mi odnaleźć kogoś żyjącego jeszcze z tej wioski. Zapalił się do pomysłu i wskazał jednego starszego człowieka - pana Stefana. Starszy pan po wywiezieniu na ziemie zachodnie, postanowił wrócić do swych korzeni i już w 1949 roku osiedlił się nieopodal swojej byłej wsi. Oczywiście jak najszybciej pojechał zobaczyć rodzinne strony, lecz to co zastał wprawiło go w zdumienie. Tereny wysiedlone zajęte były przez wojsko, które miało tam swoje poligony. Wioska została praktycznie rozebrana i zalesiona, aby śladu po niej nie było. Za wsią, przed ścianą pierwotnego lasu znajdował się kiedyś cmentarz, ale nie był to cmentarz wiejski. Parafia i cmentarz gdzie chowano mieszkańców był w G. oddalonym o 6 km. Co to był więc za cmentarz ?

-" Proszę pana, to był cmentarz wojskowy, jeszcze z I WŚ. Austriacy wybudowali, piękny kamienny mur, w środku stał mały pomnik z tablicą, a wokół było około 80 - ciu grobów oznaczonych metalowymi krzyżami. Pamiętam, jak moja matka opowiadała, że był tu szpital polowy carskiej armii. Sporo żołnierzy rannych w bitwie (nie wiadomo o jaką bitwę chodzi i gdzie miała miejsce) zmarło tu z ran. Byli pochowani tu żołnierze rosyjscy i austriaccy. Wszystkie tabliczki z datą śmierci były datowane na grudzień 1914 r i początek 1915 roku. Cmentarz był zawsze zadbany, ludzie z wioski palili tam świece w dniu wszystkich świętych, pamiętano o mogiłach żołnierzy. Tym bardziej, że było wśród nich wiele polskich nazwisk. Kiedy wróciłem w 1949 roku poszedłem obejrzeć moją wieś. Nie poznałem tego miejsca. Ziemia zaorana, wszędzie wznosił się młody las. Po cmentarzu nawet śladu. Było widać ścianę starego lasu i tabliczki z zakazem wstępu na teren wojskowy. Postanowiłem zaznaczyć miejsce gdzie był cmentarz póki jeszcze dobrze pamiętałem. Na drzewach wyciąłem kilka

znaków, a na ziemi poukładałem trochę kamieni - mniej więcej obrys cmentarza. Po 1989 roku kiedy wojsko wyniosło się z tych terenów a wszystko przeszło we władanie Nadleśnictwa, próbowałem zainteresować wielokrotnie ich kierownictwo, aby upamiętnić to miejsce pochówku z 1915 roku. Niestety nie było żadnej odpowiedzi. Jest tak do dzisiaj. Teraz jestem już za stary, aby coś zrobić w tej sprawie, ale może wy... może wam uda się. Umówimy się w przyszłym tygodniu to pokażę wam to miejsce."

Pojechaliśmy autem razem z panem Stefanem. Dla niego była to już niezła wyprawa. Ubrany w krótką kurtkę typu battle dres i furażerkę na głowie ruszył powoli z laską w ręku na miejsce dawnego cmentarza. Las był już nie do rozróżnienia, gdzie był pierwotny, a gdzie zalesiony w 1947r. Przez około 1 godzinę szukaliśmy śladów na drzewach i ziemi. Bezskutecznie. Pan Stefan był już zmęczony i nie za bardzo mógł się odnaleźć w tej okolicy. Odwieźliśmy starszego pana do domu i postanowiliśmy sami szukać dalej. Wpadłem na pomysł skorzystania map Nadleśnictwa, gdzie pracował kolega, a który chwalił się kiedyś, że pudełko zapałek odnajdzie według swoich map. I tak spotkaliśmy się z Rafałem, wyjaśniliśmy całą sprawę oczekując natychmiastowej odpowiedzi.

„ Chwila, chwila, to tak od razu nie będzie. Muszę pojechać w teren. Dopiero na miejscu, po obejrzeniu i zidentyfikowaniu drzew pokażę wam to miejsce.”

Tomasz Jaskulski

Na miejscu od razu widać było profesjonalizm zawodowy naszego kolegi. Wyznaczył kilka punktów, odnalazł kilka charakterystycznych drzew i pokazał nam na jednym z Grabów wycięty krzyż.
„ Tu widać, gdzie sięgał stary las, a z tego miejsca było prowadzone nowe sadzenie. Te drzewa mają około 60 lat, a tu wiele jest starszych. „

Najważniejsze jednak było odnalezienie znaku na grabie. Bo to oznaczało, że jesteśmy na dobrej drodze w odszukaniu śladów. Później znaleźliśmy jeszcze dwie kupki kamieni usypanych w liniach prostych i pasujących do znaku na drzewie. Według naszych wyliczeń cmentarz mierzył jakieś 40 x 30 metrów, ale nie jest to jeszcze precyzyjne określenie wymiarów.

Na razie na tym zakończyliśmy nasze działania w odnalezieniu starego cmentarza. W tym roku planujemy sięgnąć i odnaleźć jakieś dokumenty dotyczące tej tajemnicy. Jeżeli wszystkie dowody wskażą na umiejscowienie w „naszym„ rejonie tego cmentarza – zwrócimy się oficjalnie do władz, nie tylko gminnych, o odnowienie miejsca pochówku tych żołnierzy. I jeszcze jedno, pan Stefan powiedział też, że Austriacy wybrali to miejsce, gdyż obok była już stara mogiła, która znalazła się później w obrębie cmentarnego muru. Czyżby pochowani byli tam Powstańcy Styczniowi ? I z jakiej bitwy pochodzili ranni carscy żołnierze z okresu XII 1914 i I 1915 ?

Szyb górniczy
Bytom Miechowice

Pewien czas temu środowisko poszukiwaczy obiegła informacja o otworzeniu wejścia do legendarnego bytomskiego szybu skrywającego zrabowane przez Niemców skarby. Udało się tam wielu miłośników tajemnic, w większości wypadków nie przygotowanych do tego co spotkali na miejscu.

Szyb w Bytomiu Miechowicach stał się sławny za sprawą legendy mówiącej o ukryciu w jego środku skrzyń pochodzących z transportu zorganizowanego przez gubernatora GG Hansa Franka. Według lokalnej legendy (i o dziwo relacji naocznych świadków) konwój ciężarówek z Krakowa dotarł do stacji kolejowej w Biskupicach gdzie najpra-wdopodobniej miano przenieść skrzynie do specjalnego pociągu.

Pociąg natomiast powinien skierować się na Dolny Śląsk gdzie na Franka czekała już specjalnie przygotowana składnica mająca zabezpieczyć zagrabione przez niego dzieła sztuki. Na nieszczęście dla Niemców pociąg spóźniał się budząc w nich zdenerwowanie. Komendant transportu postanowił na własną rękę szukać jakiegoś alternatywnego rozwiązania dla ukrycia przewożonego ładunku.

Ciężarówki po pewnym czasie zostały skierowane do ośrodka NSDAP. Trudno określić jaki był ich dalszy los. Jednak w tym momencie na trasie przejazdu pojawia się wspomniany w tytule stary szyb górniczy.

Nie byłoby w tym niczego tajemniczego gdyż na Śląsku takich miejsc jest wiele, teoretycznie w każdym mieście Śląska i Zagłębia znajdują się jakieś nieczynne kopalniane szyby, gdyby nie fakt, uruchomienia szybu przez Niemców bez wyraźnego celu. Szyb, który od roku 1934 był zabezpieczony i zasypany, został nagle odkopany i zabezpieczony po koniec wojny. Potem również nagle i tajemniczo „zniknął" na wiele lat.

Czy kryje się w nim jakaś tajemnica, czy na dnie znajdują się przewożone przez Niemców skrzynie ?? Legenda mówi, że do szybu ładunek był spuszczany na linach przez więźniów, co po przeprowadzonych badaniach wydaje się raczej niewykonalne.

Obecnie warunki wewnętrz szybu są bardzo ciężkie – strugi lejącej się wody, niestabilne ściany, brak tlenu, wiszący i zaklinowany różnoraki złom tworzący w szybie tzw. korek blokujący dalsze dotarcie w głąb szybu. Organizując odpowiedni sprzęt osiągnąłem głębokość 170 m co przy ewentualnym opuszczaniu skrzyń na linach czyni tą pracę wręcz niemożliwą do wykonania w warunkach wojennych bez wcześniejszego przygotowania odpowiedniej ilości i długości lin.

Mariusz Bąk

Ordery, odznaki i odznaczenia wojskowe cz. 6

Odznaka pamiątkowa 10 Batalionu Pancernego, Łódź, oficerska, dwuczęściowa, srebro sygnowane, dodatkowa sygnatura A.D,

Odznaka pamiątkowa 7 Batalionu Sanitarnego, Poznań, żołnierska, jednoczęściowa, tombak srebrzony,

Odznaka pamiątkowa 10 Pułku Ułanów, Białystok, oficerska lub żołnierska, czteroczęściowa, tombak srebrzony,

Odznaka pamiątkowa 27 Pułku Ułanów, Nieśwież, żołnierska, numerowana 194, dwuczęściowa, tombak srebrzony,

Odznaka pamiątkowa Sztabu Generalnego, Warszawa, dwuczęściowa, srebro niesygnowane,

Odznaka pamiątkowa Szkoły Oficerskiej Dla Podoficerów, Bydgoszcz, dwuczęściowa, tombak emaliowany,

Odznaka Pilota 1 kl., srebro, sygnowana JAN KNEDLER / WARSZAWA

Proporczyk pamiątkowy, Wołyńska Brygada Kawalerii, tombak emaliowany

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.
www.pgnum.pl

Starożytne groby obok średniowiecznego zamku

Już prawie trzysta grobów sprzed ok. 2 tys. lat przebadali warszawscy archeolodzy w Czersku (woj. mazowieckie). Właśnie zakończyli dziewiąty sezon badań wykopaliskowych, w czasie którego odkryli unikatową ozdobę wykonaną z brązu.

"Niemal każdy miejscowość Czersk kojarzy z zamkiem książąt mazowieckich. Mało kto wie, że na tym terenie ludzie mieszkali już wiele tysięcy lat temu, czego ślady znajdujemy się

czasie wykopalisk. Jednym z ciekawszych miejsc jest obszerne cmentarzysko z przełomu er, położone obok średniowiecznej twierdzy" - mówi PAP kierowniczka prac, Katarzyna Watemborska-Rakowska z Działu Epoki Żelaza Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie.

Odkrywane groby pochodzą od II w. p.n.e. po III w. n.e. Wszyscy zmarli zostali spaleni na stosie razem z wieloma przedmiotami (jak sądzą archeolodzy, potrzebnymi w zaświatach), a także z przedmiotami codziennego użytku. Następnie ich spopielone szczątki złożono do grobów, albo w ceramicznych urnach, albo bezpośrednio w zagłębieniu w ziemi.

"Nie spodziewaliśmy się w tym miejscu żadnych śladów po tak dawnej działalności człowieka - cmentarzysko znajduje się na terenach zalewowych Wisły. Rzeka ta przez wieki często zmieniała koryto w tym miejscu" - opowiada Watemborska-Rakowska. Badacze przypuszczają, że w czasach, kiedy ludność sprzed ok. dwóch tysięcy lat chowała swoich zmarłych, teren cmentarzyska mógł być wyspą, łachą lub kępą wiślaną.

W tym roku naukowcom udało się odkryć unikalną ozdobę wykonaną z brązu. To tzw. Knotenring czyli zawieszka w kształcie pierścienia z guzkowatymi wypustkami. "Znalezisko jest wyjątkowe, gdyż jest to jedyny w Polsce tak dobrze zachowany przedmiot tego typu, pochodzący z kontekstu grobowego" - wyjaśnia badaczka.

W grobach kobiet najczęstszymi znaleziskami są elementy stroju: zapinki brązowe lub żelazne, sprzączki, paciorki z naszyjników, igły, nożyki, przęśliki.

Dużą część grobów odkrytych przez warszawskich badaczy stanowią pochówki wojowników. O takim zajęciu mężczyzn mają świadczyć złożone wraz z nimi do grobów umba, czyli żelazne okucia centralnych części tarcz. Prawie we wszystkich grobach mężczyzn naukowcy znaleźli żelazne groty oszczepów i włóczni. W tym sezonie odkryto miecz jednosieczny.

Zdaniem naukowców bogactwo wyposażenia zmarłych na cmentarzysku w Czersku związane jest z sąsiedztwem Wisły ówczesnego szlaku handlowego. Ich zdaniem ludność mieszkająca w okolicach obecnego Czerska dwa tysiące lat temu i w pierwszych wiekach naszej ery kontrolowała szlak wiślany, ale także wykorzystywała rzekę do kontaktów z rejonami rozciągającymi się na południe i północ, co tłumaczy dużą ilość przedmiotów importowanych odkrywanych w grobach.

Badania wspiera finansowo Mazowiecki Wojewódzki Konserwator Zabytków, Stowarzyszenie Przyjaciół Państwowego Muzeum Archeologicznego i firma DN Aura. Urząd Miasta i Gminy Góra Kalwaria nie tylko dofinansowuje przedsięwzięcie, ale opłacił wykonanie repliki małych charakterystycznych kubeczków, które znajdowane są w grobach czerskiej nekropoli. Pomysłodawcą wykonania replik kubków był czerski oddział Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, które jednocześnie dofinansowuje prace badawcze.

"Naczynia te weszły do literatury naukowej jako kubki typu +Czersk+ i stały się jednocześnie... gadżetem reklamowym Miasta i Gminy Góra Kalwaria" - kończy Watemborska-Rakowska.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Semu; Wikimedia Commons; Creative Commons Uznanie autorstwa – na tych samych warunkach 2.5 zlokalizowana, 2.0 zlokalizowana oraz 1.0 zlokalizowana.

Teko
Schody, drzwi, podłogi
drewno w Twoim domu
Salon firmowy TEKO
Al. Roździeńskiego 199
Katowice Nowy Roździeń (poziom -1)
530 250 167

Odkrycie Biskupina

Rozmowa z **Wojciechem Piotrowskim**

Jak doszło do odkrycia Biskupina i na czym polegała wyjątkowość tego znaleziska?

Na początku lat trzydziestych XX wieku w okolicach Biskupina rozpoczęto prace melioracyjne i irygacyjne. W 1933 roku poziom wody zarówno w jeziorze Biskupińskim, jak i w rzeczce Gąsawce opadł dość znacznie. Na półwyspie biskupińskim, który był po prostu dwuhektarowym bezdrzewnym kawałkiem

podmokłej gleby, pojawiły się dość dobrze widoczne na samym półwyspie oraz przy jego brzegu pozostałości dziwnych, drewnianych konstrukcji. Jednocześnie od wielu lat okoliczni chłopi kopiąc torf na półwyspie biskupińskim i u jego podstawy, wykopywali zabytki nie zdając sobie sprawy z ich kulturowego znaczenia.

Nauczyciela miejscowej szkoły, pana Walentego Szwajcera, o pozostałościach dziwnych budowli poinformowali uczniowie. Z tym odkryciem zgłosił się do Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu, gdzie szefem działu prehistorycznego był słynny prof. Józef Kostrzewski, również kierownik katedry archeologii Uniwersytetu Poznańskiego, jeden z najwybitniejszych polskich archeologów XX wieku. Kostrzewski przybył, nie bez przygód na trasie między Żninem a Biskupinem, i najpierw chciał rozmawiać ze Szwajcerem, twierdząc, że odkrycie jest mu znane, ponieważ w 1925 roku organizując badania powierzchniowe znalazł ułamki naczyń wczesnośredniowiecznych i że na półwyspie biskupińskim prawdopodobnie znajdował się gród wczesnopiastowski. Szybko zorientował się, że ma do czynienia nie tylko ze wczesnym średniowieczem. Pojechał na półwysep i na podstawie materiału ceramicznego od razu datował znalezisko jako osadę palafitową, czyli nawodną, która istniała prawdopodobnie między 700 a 500 rokiem p.n.e. i związana była z kulturą łużycką - w terminologii archeologicznej. Prof. Kostrzewski był w pełni świadom, że ma przed sobą obiekt o wyjątkowej klasie. Dlatego też po powrocie do Poznania zdecydował, że w przyszłym roku rozpoczną się planowe wykopaliska.

W 1934 roku, gdy ekspedycji wykopaliskowej przewodził asystent prof. Kostrzewskiego mgr Zdzisław A. Rajewski, już po odsłonięciu kilkudziesięciu metrów kwadratowych okazało się, że osada jest unikalnym obiektem archeologicznym. Półwysep był otoczony wałem obronnym, a w środku stało 13 rzędów chat wzniesionych w technice sumikowo-łątkowej, która występuje na wielu terenach Europy, a do niedawna była również stosowana w budownictwie ludowym. Polega ona na tym, że w pionowe pale z wzdłużnymi rowkami - łątki - wkładano poziome, zaostrzone na końcach drągi -sumiki. W ten sposób można było szybko i ekonomicznie wznosić budynki o nawet dużych rozmiarach.

Foto: Fazer; Wikimedia Commons; Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 2.5.

Oczywiście osad obronnych tzw. typu biskupińskiego w tym czasie, na przełomie epoki brązu i epoki żelaza, czyli w VIII-VI p.n.e., na terenie obecnej Wielkopolski i części byłej NRD było kilkadziesiąt. Jednak tylko Biskupin jest przebadany - zresztą jedynie w 75% - i jak do tej pory nie ma stanowiska archeologicznego o podobnym charakterze tak dobrze rozpoznanego przez archeologów.

Kluczem jest zatem stan zachowania?

Biskupin jest przykładem "działania" archeologii mokrej. Istnieją obiekty i zabytki, które dobrze się przechowują w warunkach beztlenowych. To, co rozkłada się w warunkach suchych, przechowuje się dobrze w warunkach mokrych. Stąd też większa jest możliwość rekonstrukcji obiektu archeologicznego i więcej można powiedzieć o kulturze materialnej ludzi, którzy zamieszkiwali takie osady.

Unikatowość Biskupina polega na kilku sprawach: na samym charakterze osady, na budowie, na planie architektonicznym. Wymiary nie ogrywają tu istotnej roli, ponieważ Biskupin w sumie był niewielki. Mówiło się, a nawet do tej pory niekiedy się jeszcze mówi, że jest to miasto, wczesne miasto z epoki brązu. Oczywiście były już większe miasta - na terenie Bałkanów, w Anatolii czy Grecji, ale na całkiem innym założeniu i w innym czasie. Biskupin zajmował dwuhektarową powierzchnię całego półwyspu, mniej więcej 200 m długości i około

100 m szerokości. Wał obronny miał około 470 m długości, wysokości na różnych odcinkach 6 m, czasami mniej, szerokości trzy metry. W środku było stłoczone trzynaście rzędów chat, w sumie 105-106 mieszkań. W każdym rzędzie pomieszczenie o takiej samej powierzchni, we wczesnej fazie około 80-90 m^2, w fazie młodszej 70 m^2, a zdarzało się nawet 60 m^2. Wszędzie taki sam układ: przedsionek, izba główna, łoże familijne w tym samym miejscu i ognisko zawsze w centrum głównego pomieszczenia. Biskupin jest też przykładem braku zróżnicowania społecznego. Nie ma ani jednej chaty bogatszej, nie ma też świątyni, nie ma w pomieszczeniu zabytków świadczących o tym, że mieszkał w niej na przykład kacyk, naczelnik czy jakiś szef plemienia, który by się materialnie wyróżniał spośród wszystkich.

Foto: Jarosław Bryła; Wikimedia Commons; Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0.

W pewnym momencie zmiany klimatyczne następowały w całej Europie dość gwałtownie. Półwysep biskupiński był wyniesiony tylko około metra ponad poziom wody jeziora. Przy narastającym chłodzie i wzroście wilgotności po prostu w pewnym momencie mieszkańcy Biskupina nie byli już w stanie chronić się przed agresją wodnego środowiska. Wszystkie metody, które stosowali - podkładki, faszyna, przetyczki - które gwarantowały, że budynki nie przechylały się na mokrym gruncie, przestały zdawać egzamin, dlatego też zwinęli cały swój dobytek i opuścili osadę. Biskupin nigdy nie był zniszczony skutkiem napadu z zewnątrz. Palił się dwu- albo trzykrotnie, ale były to pożary przypadkowe.

Stopniowo wszystkie budowle zaczęły się pogrążać w mule i w końcu zostały przykryte torfem i mułem jeziornym, ale dzięki temu właśnie tak doskonale się zachowały do czasów nam współczesnych.

Czy można powiedzieć coś więcej o upadku osady?

Teorie są różne. W tej chwili w literaturze archeologicznej są brane pod uwagę dwie, a nawet trzy hipotezy. Pierwsza, udokumentowana przez badania przyrodnicze; a więc zmiany klimatyczne, zwłaszcza że nie tylko Biskupin był opuszczony, ale również inne osady typu biskupińskiego. Druga hipoteza mówi o wyeksploatowaniu środowiska naturalnego najbliższych okolic, że na przykład wycinka lasu spowodowała szybszy spływ wody i szybsze podnoszenie się jej lustra, a także wyjałowienie gleby. Trzecia hipoteza zakłada generalny kryzys w łonie kultury łużyckiej. Myślę, że trzeba brać pod uwagę wszystkie trzy elementy, które spowodowały, że Biskupin został opuszczony.

Czy możemy cokolwiek powiedzieć o początku osady?

Od piętnastu lat mamy już pierwsze daty bezwzględne. Prof. Kostrzewski na początku datował egzystencję Biskupina na 700-500 r. p.n.e. Potem gród biskupiński został "odmłodzony" i wciąż funkcjonuje w większości podręczników szkolnych i w mediach jako osada z okresu 600-400 p.n.e., ewentualnie 550 - 400 p.n.e. Wydatnie nam pomogła dendrochronologia, a więc datowanie poprzez zliczanie słojów drzew. Zostało przebadanych kilkadziesiąt próbek, z czego większość datuje się między 747 a 727 p.n.e.

To brzmi jakby Biskupin był współczesny założeniu Rzymu.

Tak. Biskupin powstał w połowie VIII wieku p.n.e. Nie mamy jeszcze daty końcowej. Wiele wskazuje na to, że osady typu biskupińskiego i sam Biskupin były obiektami funkcjonującymi dość krótko - 30, 50, może 60 lat.

Jak wyglądało życie mieszkańców Biskupina i podobnych osad?

Według archeologów istniało zapotrzebowanie na budowanie takich osad wśród ludności kultury łużyckiej, która rozwijała się już od

środkowej epoki brązu, umiejętnie wykorzystując zastane warunki terenowe. Wszystkie osady typu biskupińskiego były lokowane w ten sam sposób: na półwyspach albo na wyspach jeziornych, czasami w trudnych warunkach zdrowotnych, ale priorytetem była obronność. Biskupin był osadą warowną, dlatego że była to główna osada w centrum mikroregionu, w centrum terenu, który był eksploatowany przez społeczność, którą być może należy określić jako plemię. Normalnie ludzie żyli na brzegach jeziora, polowali, zbierali, siali, większość roku spędzano prawdopodobnie w szałasach albo po prostu na terenie odkrytym. Przez większość roku stada były trzymane na łąkach i w lasach. Natomiast na zimę cała ludność chroniła się w osadzie obronnej na półwyspie, razem ze zwierzętami i niezbędnym dobytkiem. Teren kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych wystarczał społeczności liczącej 800-1000 osób, aby wyżywić się i rozwijać kulturę materialną.

W jak niebezpiecznym środowisku żyli ówcześni ludzie? Nie chronili się przecież przed dzikimi zwierzętami w osadzie, raczej chodziło o agresywność innych ludzi z sąsiednich siedlisk.

Najprawdopodobniej były to społeczności, które nie żyły w permanentnym konflikcie, ale strzegły swego terenu i być może dochodziło okresowo do bratobójczych walk. W każdym razie potrzeba wybudowania takiej osady wynikała z niepewności bytu. Osady nie tworzyły państwa ani jakiejś konfederacji. Były to raczej samowystarczalne organizmy okupujące bardzo konkretne terytorium, prawdopodobnie z granicami, które były strzeżone i respektowane.

Czy w jakikolwiek sposób można ludzi kultury łużyckiej łączyć z późniejszymi plemionami, które znajdowały się na terenach Polski?

To jest kwestia, która odgrywa bardzo istotną rolę, ponieważ Biskupin funkcjonuje w historii Polski XX wieku jako osada prasłowiańska. Twórcą tej teorii był prof. Kostrzewski, który twierdził, że już od środkowej epoki brązu, czyli nawet od 1300 roku p.n.e. plemiona na terenach obecnej Polski to byli Prasłowianie, a więc lud w jakiś sposób genetycznie z nami związany. Ta teoria była bardzo nośna, bo Biskupin urastał do symbolu wysokiego poziomu kultury materialnej Prasłowian i tak do tej pory funkcjonuje w większości podręczników szkolnych.

Koncepcja "prasłowiańska" prof. Kostrzewskiego była reakcją na poglądy archeologów niemieckich, którzy uważali, że wcześniej okupowali te tereny Indogermanie. Obecnie większość polskich archeologów skłania się do koncepcji prof. Kazimierza Godłowskiego, według której Słowianie na teren dzisiejszej Polski przybyli dopiero w V wieku n.e. z obszarów stepowo-leśnych i bagiennych obecnej południowej Białorusi i północnej Ukrainy. Pojawili się więc grubo ponad tysiąc lat po opuszczeniu Biskupina przez ludność kultury łużyckiej. W tej chwili nie mamy żadnych dowodów na charakter etniczny mieszkańców Biskupina. Nie byli to ani Germanie, ani Słowianie, ani Celtowie. Czy kiedyśm uda się określić, co to był za lud? Być może, skoro badania DNA postępują naprzód.

Wojciech Piotrowski - sekretarz naukowy Muzeum Archeologicznego w Biskupinie.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Monety

Władysław I Herman 1081 - 1102

Denar , Av.: Mała głowa i napis otokowy, Rv.: Trzy kościelne wierze z krzyżami, napis otokowy

---

Bolesław II Śmiały 1058 - 1079

Denar, Av.: Mała głowa i napis otokowy, Rv.: Książę na koniu z włócznią

Denar, Av.: Popiersie w koronie z mieczem, Rv.: Trójkopułowa budowla

Bolesław Chrobry 992 - 1025

Denar, Av.: Stojący ptak, imitacja napisu w otoku, Rv.: Krzyż podwójny, między ramionami ozdobne kółka, napis w otoku: PRINCES POLONIE,

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.
www.pgnum.pl

Wyrok śmierci na Danucie Siedzikównie ps. „Inka”

28 sierpnia 1946 roku w Gdańsku wykonano jeden z najbardziej kontrowersyjnych wyroków śmierci w PRL. Skazaną była Danuta Siedzikówna, niespełna 18-letnia sanitariuszka z oddziału podległego Zygmuntowi Szendzielarzowi ps. "Łupaszka".

Danuta Siedzikówna była córką leśnika z niewielkiej wsi Guszczewina na obrzeżach Puszczy Białowieskiej. W 1940 roku jej ojciec - jako urzędnik państwowy - został aresztowany i wywieziony na Syberię. Opuścił ZSRR wraz z armią Andersa, lecz zmarł w Teheranie jako komendant obozu dla polskich uchodźców. Matka Danuty włączyła się do działalności konspiracyjnej, za co została aresztowana i zgładzona przez Gestapo w 1943 roku. Danuta Siedzikówna miała 15 lat, gdy ostatni raz widziała matkę w szpitalu w Białymstoku, skatowaną przez Gestapo.

Inka, wraz z siostrą postanowiły pójść w ślady matki i dołączyły do AK. Danuta pełniła funkcję łączniczki pracując w nadleśnictwie w Narewce. Być może na tym zakończyłaby się jej działalność w AK, lecz w czerwcu 1945 została aresztowana przez Urząd Bezpieczeństwa za kontakty z oddziałami AK. Wkrótce po aresztowaniu została brawurowo odbita z rąk komunistów przez oddział 5. Brygady Wileńskiej dowodzonej przez znanego “żołnierza wyklętego” mjr. Łupaszkę. Nie mając wielkiego wyboru, została sanitariuszką w jednym ze szwadronów. Wraz ze swoim oddziałem przeniosła się na Pomorze, gdzie uczestniczyła w akcjach bojowych - napadach na posterunki i patrole UB, milicji i KBW.

Została aresztowana w Gdańsku 20 lipca 1946 roku, po zadenuncjowaniu przez koleżankę. Mimo brutalnego śledztwa, nie zdradziła żadnych informacji o swych współtowarzyszach. Odmówiła jakiejkolwiek współpracy i nie zdecydowała się nawet podpisać listu do prezydenta Bieruta z prośbą o łaskę do końca deklarując, że walczyła o słuszną sprawę. W przesłanym siostrom Halinie i Jadwidze Mikołajewskim z Gdańska grypsie z więzienia Danka napisała: „Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba”.

Egzekucja przez rozstrzelanie odbyła się 28 sierpnia 1946, na sześć dni przed jej osiemnastymi urodzinami. Wyrok ten stał się symbolem brutalności komunistycznych sądów. W 1991 sąd III RP uznał wykonanie wyroku śmierci na Danucie Siedzikównie za zbrodnię sądową i zrehabilitował “Inkę”. Jej grób znajduje się na cmentarzu garnizonowym przy ul. Giełguda w Gdańsku.

ŁW

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Wejście do Gdańska Pancernika „Schleswig-Holstein”

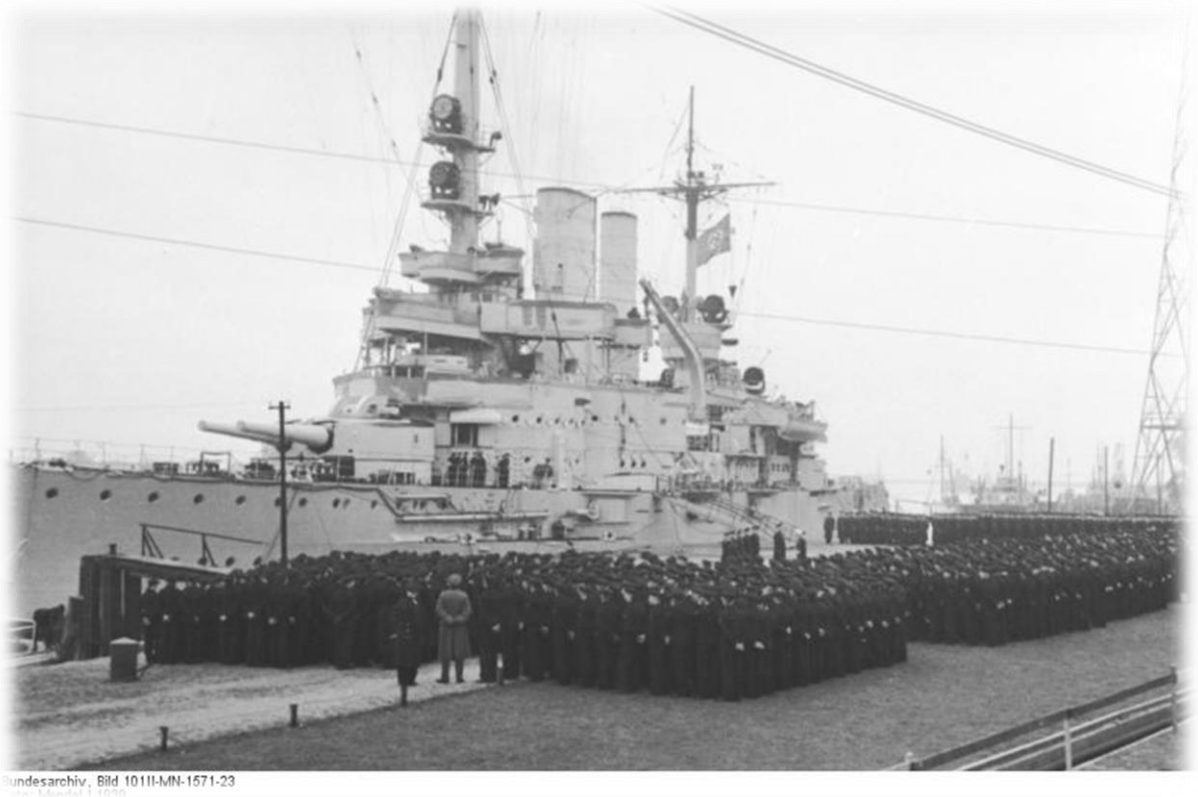

Bundesarchiv, Bild 101II-MN-1571-23 / Mendel / CC-BY-SA 3.0

Z prof. **Janem Kazimierzem Sawickim** rozmawia Wojciech Kozłowski

Jak wyglądała polska obecność w porcie Wolnego Miasta Gdańska?

Konferencja w Wersalu miała katastrofalne skutki dla dostępu Polski do morza i uprawnień w Wolnym Mieście Gdańsku. Było to głównie następstwem działań dyplomacji brytyjskiej, która jeszcze przez wiele lat wytrwale pomagała Niemcom eliminować polskie wpływy nawet w Gdańsku. Cenę za to później zapłaciliśmy wspólnie.

Rada Portu i Dróg Wodnych Wolnego Miasta Gdańska składała się po połowie z Delegacji RP i Delegacji WMG. Rząd polski zabiegał o utrzymanie wpływów na obszarze gdańskiego portu oraz utrzymanie WMG we wspólnym obszarze celnym. Kontrolował pilotaż portowy i morski WMG. Funkcję komodora pilotów sprawował kpt. żeglugi wielkiej Tadeusz Ziółkowski, dawny komendant statku

szkolnego "Lwów". W gronie pilotów pracowało jeszcze kilkunastu polskich kapitanów i oficerów.

Bundesarchiv, Bild 102-11521 / CC-BY-SA 3.0

Podczas badań dziejów ojczystej floty zajmowałem się wyprowadzeniem polskich statków w sierpniu i wrześniu 1939 roku do sojuszniczych i neutralnych portów, przeprowadzonym dla ich uratowania przed zniszczeniem lub zajęciem przez Kriegsmarine. Kilka polskich statków zostało wyprowadzonych z portu gdańskiego szybciej, niż to armatorzy planowali. Kapitan Bohdan Gawęcki już 23 sierpnia dostał od armatora polecenie wyprowadzenia z Gdańska s/s "Katowice", co też bezzwłocznie wykonał podążając na redę Gdyni. Gdy o 17.15 odcumowywał od nabrzeża w Gdańsku, załoga i statek byli żegnani nieprzyjaznymi okrzykami i tylko z trudem uniknięto prowokacji, umożliwiającej zatrzymanie statku w porcie. S/s "Wisła" zawinęła do Gdańska 16 sierpnia z ładunkiem prawie 5000 ton rudy żelaza. Wyładunek odbywał się bardzo wolno, co niepokoiło załogę. Kapitan Paweł Traczewski 24 sierpnia w południe dostał telefonicznie z centrali Żeglugi Polskiej nakaz natychmiastowego opuszczenia gdańskiego portu. Przerwał wyładunek i przygotował statek do wyjścia w morze. Niestety, władze portu nie dały pilota. Wedle obowiązujących przepisów, żaden statek nie mógł opuścić portu bez pilota. Nieocenioną wówczas rolę odegrał kpt. żeglugi wielkiej Stanisław Kubin, absolwent Wydziału Nawigacyjnego Szkoły Morskiej w Tczewie, który jako pilot portu gdańskiego mógł wyprowadzić "Wisłę" na gdyńską redę.

Jak wyglądała sprawa wpłynięcia niemieckiego pancernika "Schleswig-Holstein" do portu w Gdańsku?

Przybycie niemieckiego pancernika szkolnego na redę Gdańska zupełnie zaskoczyło komodora i pilotów. Spodziewali się zawinięcia zapowiadanego krążownika "Kőnigsberg", natomiast na redzie pojawił się dużo silniej uzbrojony okręt szkolny, były pancernik. Była to jednostka o bardzo silnym uzbrojeniu artyleryjskim, z ośmiusetosobową załogą. Komodor Tadeusz Ziółkowski wizytował ten okręt na redzie i uznał, że nie planowano jego wejścia do portu oraz że okręt ma na pokładach sprzęt bojowy przygotowany do zadań desantowych. Jako były oficer floty cesarskiej zorientował się, że "Schleswig-Holstein" wiezie pod pokładami liczny oddział desantowy, który w żadnym razie nie mógł być wprowadzony do portu gdańskiego bez złamania obowiązującego prawa. Gestapo aresztowało go na kilka godzin, a jego obowiązki przejął zastępca Niemiec, kapitan Rudolf Norman, który wprowadził niemiecki pancernik do gdańskiego portu.

Rozumiem, że nie mógł zmienić decyzji swego zastępcy i zażądać wyprowadzenia okrętu z portu.

Nie. Do 1 września komodor Tadeusz Ziółkowski pozostawał *de facto* w areszcie domowym w mieszkaniu w Nowym

Porcie. Gestapo aresztowało wielu innych polskich kapitanów i pilotów, zatrudnionych w porcie gdańskim, w tym polskich pracowników administracji. Właśnie w ten sposób gestapo oczyszczało newralgiczny obszar, jakim miał się stać port gdański. Ustawienie pancernika "Schleswig-Holstein" naprzeciw cypla Westerplatte dawało doskonałe warunki ostrzału polskiej placówki i niszczenia Helu, gdyż zasięg jego artylerii pokładowej pozwalał na wspomożenie jednostek Kriegsmarine w operacjach w Zatoce Gdańskiej.

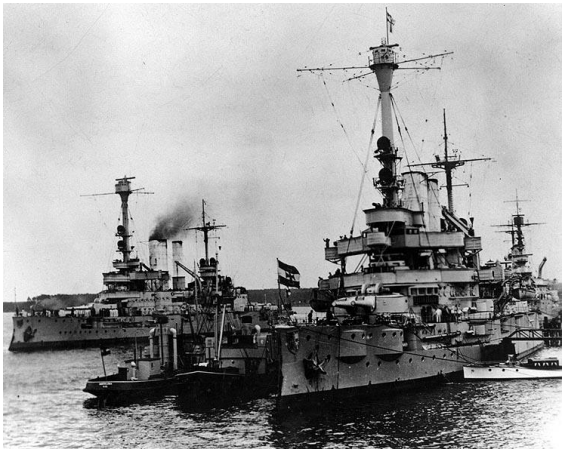

Foto: Igiveup; domena publiczna

Czy komodor Tadeusz Ziółkowski poniósł konsekwencje odmowy wprowadzenia pancernika do portu gdańskiego?

Najpierw kapitan Norman namawiał go, aby przyłączył się do budowania III Rzeszy, ale kiedy zdecydowanie odmówił, wysłano go do robót na Westerplatte, a później osadzono w obozie w Stutthoffie. Został rozstrzelany w Wielki Piątek 22 marca 1940 roku w masowej egzekucji 67 wybitnych przedstawicieli Polonii gdańskiej. Datę jego śmierci udało się ustalić dzięki życzliwej pomocy pracowników Muzeum Stutthof.

Co stało się później z pancernikiem "Schleswig-Holstein"?

W kwietniu 1940 roku brał udział w inwazji na Norwegię. Później wycofany został z działań ofensywnych. Stacjonował w Gdyni, która w czasie wojny stała się portem wojennym Kriegsmarine. 18 grudnia 1944 roku i 21 marca 1945 podczas bombardowania gdyńskiego portu przez lotnictwo alianckie okręt został trafiony bombami i zatonął w basenie portowym.

Na podstawie artykułu 3 zawartej 29 października 1945 roku w Moskwie *Umowy między Ministerstwem Żeglugi i Handlu Zagranicznego a Komisariatem Ludowym Marynarki Wojennej ZSRR w sprawie robót ratowniczych i pogłębiarskich w portach polskich*, do której jako integralną część dołączono *Protokół o podziale statków zatopionych w portach morskich*, wszystkie okręty wojenne stanowiące zdobycz wojenną przechodziły na własność ZSRR, z wyjątkiem tych, które zostały wyłączone według uznania Komisariatu Ludowego MW ZSRR. Wśród okrętów Kriegsmarine przyjętych przez ZSRR był także wrak "Schleswiga-Holsteina", którym wiosną 1946 roku zajęły się ekipy awaryjno-ratownicze Południowo-Bałtyckiej Floty ZSRR.

19 lipca 1946 roku grupa ludzi kultury, między innymi Ewa Szelburg-Zarębina, wystąpiła z apelem do marszałka Michała Roli-Żymierskiego o wydobycie pancernika i wystawienie go przy Westerplatte, aby jako symbol zwycięstwa upamiętnił wybuch II wojny światowej. Jednak ówczesne Dowództwo Polskiej Marynarki Wojennej nie kwapiło się do wspierania realizacji takiego pomysłu.

Dlaczego?

Podniesienie okrętu, jego odbudowa oraz utrzymanie kosztowałoby krocie, przekraczające wówczas nawet roczny budżet marynarki polskiej. Dowództwo Południowo-Bałtyckiej Floty ZSRR 26 września 1946 "Schleswiga-Holsteina" wcieliło pod nazwą "Borodino" w skład

swojej floty. Po uszczelnieniu kadłuba i pokładów wrak pancernika został podniesiony z dna basenu. Był on długo przygotowywany do holowania. Dopiero 22 maja 1947 roku o 15.30 został wyprowadzony z Gdyni przez dwa sowieckie holowniki "MB44" i "MB46", a następnie pomyślnie doprowadzony do Tallina. Przeholowanie do Kronsztadu się nie powiodło i wrak okrętu 25 czerwca 1947 roku zatonął na płyciźnie w Zatoce Fińskiej.

Historyk Siergiej Siergiejewicz Bierieżnoj podaje, że okręt nie nadawał się do odbudowy i z polecenia dowództwa został zatopiony. Ja jednak uważam, że "Schleswig-Holstein" był wartościowym wrakiem i na jego ratowanie Flota Południowego Bałtyku wydała zbyt poważne środki, aby je w taki sposób marnotrawić. Sądzę, że w trakcie przeholowania z Tallina do Kronsztadu rozdarły się zabezpieczenia kadłuba zrobione przez radzieckich ratowników w Gdyni.

Aby "Schleswig-Holstein" nie zatonął na głębi, holowniki wciągnęły wrak na przybrzeżną mieliznę w Zatoce Fińskiej z zamiarem przeprowadzenia kolejnej akcji ratowniczej. Jednak dowództwo ZSRR zrezygnowało z podnoszenia pancernika. "Schleswig-Holstein" pozostał na zawsze w rejestrze wojennych wraków, tym razem już jako należący do Południowo-Bałtyckiej Floty ZSRR.

Prof. **Jan Kazimierz Sawicki** - historyk, pracownik Akademii Morskiej w Gdyni; specjalizuje się w dziejach Polskiej Marynarki Wojennej w XX wieku.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Bundesarchiv, DVM 10 Bild-23-63-47 / CC-BY-SA 3.0

Niemcy 1940 – 1945
7,92 x 57 Mauser, cz.1

Producent: Patronen-Zündhütchen-u. Metallwarenfabrik A.G., wcześniej jako Sellier & Bellot, Schönebeck an der Elbe; piąta seria z 1944 roku; łuska stalowa wzmocniona.

Producent: Patronen-Zündhütchen-u. Metallwarenfabrik A.G., wcześniej Sellier & Bellot, Vlasimt; trzecia seria z 1940 roku; łuska stalowa miedziowana (bimetalowa).

Producent: Gustloff Werke, Otto Eberhardt Patronenfabrik, Hirtenberg; sto pięćdziesiąta piąta seria z 1940 roku; łuska stalowa miedziowana (bimetalowa).

Producent: Deutsche Waffen-u. Munitionsfabriken A.G. (D.W.M.), Berlin-Borsigwalde; druga seria z 1941 roku; łuska z mosiądzu 72 (72% Cu, 28% Zn).

Producent: Polte, Magdeburg; trzydziesta dziewiąta seria z 1940 roku; łuska z mosiądzu 72 (72% Cu 28%Zn).

Producent: Polte Armaturen-u. Maschinenfabrik A.G., Grüneberg; siódma seria z 1941 roku; łuska z mosiądzu 72 (72% Cu 28%Zn).

Producent: Silva Metallwerke GmbH., Genthin; pierwsza seria z 1940 roku; łuska z mosiądzu 72 (72% Cu, 28% Zn).

Producent: Alois Pirkel, Elektrotechnische Fabrik, Reichenberg; wyprodukowano w 1942 roku; nabój szkolny z mosiądzu 72 (72% Cu, 28% Zn).

Producent: Metallwerk Wolfenbuettel GmbH, Wolfenbuettel; pierwsza seria z 1941 roku; łuska stalowa.

Producent: Finower Industrie Werk GmbH., Finow/Mark; pięćdziesiata szósta seria z 1944 roku; łuska stalowa wzmocniona z jednym kanałem zapłonowym.

Producent: Fabrique Nationale d'Armes de Guerre, Herstal, Liege, Belgium; druga seria z 1943 roku; łuska z mosiądzu 72 (72% Cu, 28% Zn).

Producent: Borck u. Goldschmidt, Berlin; wyprodukowano w 1942 roku; nabój szkolny z mosiądzu 72 (72% Cu, 28% Zn).

JARO

Bitwa Warszawska

Z prof. **Andrzejem Nowakiem** rozmawia Ewa Zientara

Czy możliwe było porozumienie między Polską a Rosją sowiecką w 1919 albo 1920 r., czy też wojna była nieunikniona?

Praktycznie rzecz biorąc, wojna toczyła się od nocy sylwestrowej z 31 grudnia 1918 roku na 1 stycznia 1919, to jest od chwili, gdy Armia Czerwona, realizując plan polityczny nakreślony przez biuro polityczne partii bolszewickiej, podjęła "rekonkwistę" terenów byłego Imperium Rosyjskiego i zaczęła posuwać się w ślad za wycofującymi się wojskami niemieckimi. Celem tej operacji, wszczętej w listopadzie 1918 roku, było nie tylko odzyskanie kontroli nad obszarami utraconymi na rzecz Niemiec w wyniku

pokoju brzeskiego. Cel był bardziej ambitny i zasadniczo sprzeczny z racją istnienia niepodległego państwa polskiego. Chodziło o dojście do centrum rewolucji europejskiej, jakie przywódcy partii bolszewickiej spodziewali się znaleźć w Niemczech.

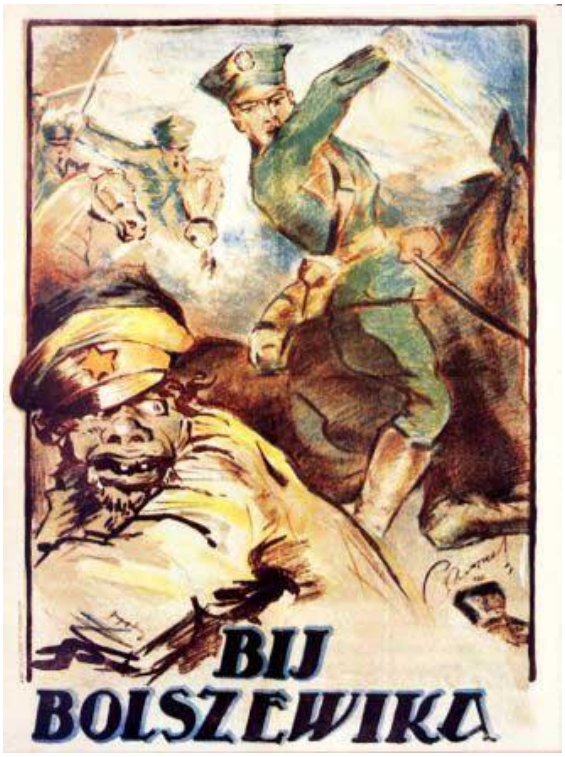

Nie bez racji, ponieważ właśnie tam był najliczniejszy proletariat, największy przemysł, a w listopadzie 1918 wybuchła rewolucja. Bolszewicy liczyli na jej dynamiczny przebieg. Nawet po stłumieniu pierwszych jej objawów wciąż mieli nadzieję, że rewolucja będzie się odradzała i postępowała dalej. W tym celu trzeba było obalić - jak to ujął Józef Stalin w swoim artykule z listopada 1918 roku - "polskie przepierzenie". Pod takim właśnie tytułem ukazał się artykuł w wydawanym przez niego, jako komisarza ds. narodowości, czasopiśmie "Żyzn nacjonalnostiej", który dokładnie oddawał istotę polityki sowieckiej wobec Polski. *Polskoje sriedostienje*, czyli "polskie przepierzenie", to była taka cienka ścianka działowa między dwoma istotnymi centrami światowej rewolucji, Moskwą i Berlinem. Trzeba było je obalić. Armia Czerwona podjęła to zadanie, przechodząc przez obszary Białorusi, Litwy i 31 grudnia 1918 roku wkraczając do Wilna. Od tego momentu zaczynają się starcia między oddziałami polskimi a Armią Czerwoną. Marsz ten został zatrzymany przez Wojsko Polskie organizowane pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. W lutym 1919 uformował się ciągły front.

Bolszewicy stracili inicjatywę, kiedy musieli zmierzyć się z wewnętrznym wrogiem, czyli białą Rosją, która dała znać o sobie dopiero w pierwszych miesiącach roku 1919. Wtedy bolszewicy musieli powstrzymać swój marsz na zachód i zająć się wojną domową. Ale plan rozszerzenia rewolucji na zachód pozostał i to było najważniejsze. Dodajmy jeszcze, że pierwszym politycznym symbolem tego planu stało się powołanie sowieckiego rządu dla Polski. Nie dopiero w lipcu 1920 roku, jak uczymy się w podręcznikach, kiedy to w Białymstoku powołano Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Marchlewskim na czele, ale już w styczniu 1919 ustanowiono taki *Polrewowojensowiet*, czyli Polską Radę Wojskowo-Rewolucyjną. To, że ten rząd nie zainstalował się w Warszawie już na początku 1919, było wynikiem splotu dwóch istotnych okoliczności. Pierwszą była energiczna obrona ze strony Wojska Polskiego pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, a drugą tymczasowa zmiana priorytetów przez Armię Czerwoną, wskutek konieczności zmierzenia się z wrogiem wewnętrznym. Moskwa mogła zacząć myśleć o marszu na zachód ku Berlinowi dopiero po rozprawieniu się z białą Rosją, a to stało się w końcu 1919 roku. Wszystko wskazuje na to, że strategiczny konflikt między dążeniem Rosji sowieckiej do rozbicia "polskiego przepierzenia" w celu dojścia do Berlina a istnieniem państwa polskiego był nieuchronny. Można było liczyć na chwilowe odroczenie parcia komunistów na zachód ku Niemcom, ale stała tendencja

pozostawała ta sama. W tym sensie konflikt - powtórzmy to jeszcze raz - był nieuchronny.

Czy w bolszewickim planie Polska miała zostać sowiecką republiką, czy też chciano pozostawić jej jakąś namiastkę niezależności?

W planach kierownictwa sowieckiego leżała Europejska Republika Rad, czyli wspólnota republik sowieckich. Było w niej miejsce dla odrębnej Polskiej Republiki Sowieckiej, ale jej kształt i znaczenie było zakreślone niezmiernie wąsko ze względu na to, że w optyce bolszewickiej najważniejsza była oś Moskwa-Berlin. Na rzecz zaspokojenia i jednocześnie przyciągnięcia potencjalnego sojusznika tej osi, czyli czerwonych Niemiec, bolszewicy byli zdecydowani tak okroić tę sowiecką Polskę, aby jak najbardziej odpowiadała ona towarzyszom z Berlina. W tym sensie ani Śląsk, ani Pomorze nie należałyby do Polskiej Republiki Sowieckiej. Co prawda, taki ostateczny plan graniczny nigdy nie został nakreślony, ale wiemy, że komuniści niemieccy jednoznacznie domagali się Śląska i Pomorza i nic nie wskazuje na to, aby strona sowiecka wnosiła tutaj jakikolwiek sprzeciw. Natomiast komuniści polskiego pochodzenia nie byli gotowi do żadnych sporów w tym zakresie. Jeden z nich, Adolf Warski, podkreślał wielokrotnie, że najważniejsze są interesy stolicy światowego proletariatu, czyli Moskwy. Można było sobie wyobrazić także drugą stolicę - Berlin, ale tak czy inaczej w interpretacji Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, późniejszej KPP, interesy polskiego proletariatu i komunistów polskich były świadomie podporządkowane interesom tych dwóch sił dominujących w rewolucji europejskiej.

Jaki wpływ na sytuację w 1919 i 1920 roku miała sprawa ukraińska?

Ze względu na ujawnioną w 1918 roku wielkość i wagę sprawy ukraińskiej w Europie - oczywiście ogromny. Otóż przypomnijmy, że w lutym tego roku na froncie wschodnim jeszcze zwycięskie cesarskie Niemcy postawiły na Wielką Ukrainę jako na swego partnera, albo raczej narzędzie-partnera. Z jednej strony chciały zaszachować Rosję zmuszając ją do podpisania takiego pokoju, jaki podyktuje Berlin, co też stało się kilka tygodni później w przyjętym przez bolszewików drugim pokoju brzeskim. Jednocześnie ta sama Wielka Ukraina, jako partner i narzędzie planów niemieckich, miała ograniczyć i pohamować polskie apetyty do stworzenia silnego państwa na granicy z Niemcami. Pokój brzeski zawarty z Ukrainą w lutym 1918 pokazał zachodnim aliantom istnienie nowego, wielkiego państwa, które może być ważnym graczem na strategicznej scenie Europy Wschodniej. Kluczowe było oczywiście zachowanie ludności Ukrainy.

Po załamaniu się Niemiec w listopadzie 1918 roku wiadomo było, że ten czynnik chwilowo traci znaczenie. Ukraina nie będzie w tym momencie narzędziem wpływów niemieckich, a Niemcy nie będą organizować państwowości ukraińskiej ani ochraniać jej swoją siłą militarną. Pozostawały inne wyjścia. Jedno tworzyli bolszewicy i ich ofensywa w celu stworzenia sowieckiej Ukrainy. Drugim wyjściem był program niepodległej Ukrainy reprezentowany przez Symena Petlurę, naczelnego dowódcę, czyli głównego atamana sił Ukraińskiej Republiki Ludowej, która powstała w Kijowie. Program utworzenia niepodległej Ukrainy musiał znaleźć partnera, aby obronić się przed bolszewickim zagrożeniem idącym od wschodu. Takim partnerem po upadku Niemiec mogła być tylko Polska. Ale tu znów pojawiało się pytanie: ilu zwolenników wśród ludności ukraińskiej pociągnie za sobą Petlura? Trzecie rozwiązanie, które na krótko wydawało się realne w roku 1919, to postawienie na białą Rosję, które

oznaczałoby powrót do stanu sprzed 1917 roku. Ukraina istniałaby w ramach Wielkiej Rosji, być może z szerszą autonomią, choć wciąż w strukturach państwa rosyjskiego. Ale to trzecie rozwiązanie zostało wyeliminowane poprzez klęskę białych w ciągu 1919 roku. Pozostały dwa: sowiecka Ukraina z bolszewikami albo Ukraina walcząca o niepodległość opierając się na Polsce.

Trzeba jeszcze podkreślić, że ludność ukraińska była bardzo zmęczona trwającą wojną. Od 1917 roku okupacja Kijowa zmieniała się kilkunastokrotnie. Bardzo ważnym czynnikiem wpływającym na postawę ludności było to, że duże miasta nie były w sensie etnicznym ukraińskie. Tego zwolennicy niepodległości Ukrainy nie wzięli pod uwagę. Miasta były etnicznie polskie, rosyjskie i żydowskie. Ukraińska była wieś, ale w nowoczesnym państwie to nie wystarczy. Elity niepodległościowe były zbyt szczupłe, a świadomość narodowej odrębności, wyrażająca się w konsekwentnym dążeniu do odrębnego państwa, zbyt słaba, aby program Petlury zdobył silne poparcie. Dlatego okazał się mniejszościowy. Masy ludności chłopskiej szukały przede wszystkim zaspokojenia swoich celów społecznych czy społeczno-ekonomicznych. W tym sensie obietnica bolszewicka okazała się dla dużej części tego społeczeństwa czymś bliższym niż walka o własne państwo. Nade wszystko dominowało zmęczenie i znużenie. Kto miał przewagę, kto pierwszy mógł zapewnić ustanie wojny, ten miał największe szanse na poparcie.

Piłsudski zdawał sobie z tego sprawę, kiedy w roku 1920, współpracując z Petlurą, świadomie podjął grę kartą ukraińską. Zakładał, że uderzenie na Kijów, podjęte przez niego na kolejnym etapie wojny polsko-sowieckiej w kwietniu tego roku, stworzy szansę na okrzepnięcie państwa ukraińskiego w jego centrum w Kijowie. Liczył na to, że utrzyma parasol ochronny polskiego wojska nad tworzącą się niepodległą Ukrainą co najmniej przez kilka miesięcy, przynajmniej do jesieni 1920. Tymczasem niepowodzenie militarne sprawiło, że Wojsko Polskie musiało wycofać się z Kijowa już na początku czerwca. Parasol ochronny działał za krótko. Ukraińcy nie mogli się przekonać, że jest szansa na utrwalenie ich niepodległości, a Polacy mogą być czynnikiem stabilizacji, wspierającym ich państwo i pokój, którego wszyscy najbardziej potrzebowali.

Dlatego z tak niewielkim poparciem spotkał się Symon Petlura i jego idea niepodległej Ukrainy latem 1920. W każdym razie nie było ono dość duże, aby szeregi wojska ukraińskiego zapełniły się dziesiątkami tysięcy ochotników. Nowe oddziały powstawały, ale były zbyt małe i - jak się okazało - niezdolne do porwania za sobą większości Ukraińców. Nie znaczy to, że nawet tak niewielkie poparcie należy lekceważyć. Ostatecznie zatem ta gra o wielką stawkę podjęta przez Piłsudskiego zakończyła się niepowodzeniem. Gra toczyła się o duże, silne państwo ukraińskie związane sojuszem z Polską. Związek ten mógł stworzyć strategiczną oś zabezpieczającą Europę Środkowo-Wschodnią przed recydywą rosyjskiego imperializmu - czy to czerwonego, czy białego.

Co zdecydowało o zwycięstwie Polaków w Bitwie Warszawskiej?

W tej sprawie, jak to zwykle w historii, nie jedna, ale kilka przyczyn złożyło się na ten szczęśliwy dla Polski i Europy rezultat. Po pierwsze, trzeba wziąć pod uwagę czynnik najważniejszy. W odróżnieniu od Ukrainy, w Polsce Armia Czerwona miała do czynienia ze społeczeństwem, w którym świadomość narodowa była bardziej rozpowszechniona i silniejsza, to znaczy chłop nie czuł się tylko chłopem, ale w równym stopniu uważał się za Polaka. W związku z tym nie można było tak

skutecznie jak na Ukrainie, Białorusi i w samej Rosji odwołać się do - nazwijmy to po marksistowsku - instynktu klasowego. Hasła walki o ziemię, walki z obszarnikami, walki z "białą" szlachtą, z "burżuazyjnym" rządem, które wielokrotnie sprawdzały się i pomagały bolszewikom w postępach na terenie dawnego Imperium Rosyjskiego, zawiodły na granicy etnicznej z Polską. Oczywiście nie wszyscy, ale przeważająca część polskiego społeczeństwa - w większości chłopskiego - odrzuciła te hasła, ponieważ czuła się związana solidarnością innego rodzaju - solidarnością narodową.

Na okupowanych przez siebie terytoriach bolszewicy tworzyli rady - sowiety. Angażowali się do nich - nie zawsze pod przymusem, czasem dobrowolnie - także przedstawiciele społeczeństwa polskiego. Najczęściej rekrutowali się oni z chłopów bezrolnych, parobków, a czasem także z inteligencji tak socjalistycznej, jak i narodowo-demokratycznej. Ale powtórzmy: była to znikoma mniejszość. To, że bolszewicy nie mogli skutecznie odwołać się do instynktu klasowego, pomogło Polsce zmobilizować się w chwili zagrożenia. W momencie kryzysu, kiedy wojska sowieckie stały pod Warszawą, ludzie garnęli się nie do zwycięzców, czyli bolszewików, ale do obrony zagrożonej niepodległości. I to wydaje się najważniejsze: te setki tysięcy ochotników, które zgłaszały się do armii w momentach szczególnie trudnych w lipcu i sierpniu 1920 roku.

Drugim czynnikiem były same wydarzenia na froncie. Bolszewicy praktycznie od trzech miesięcy byli w natarciu, ich linie komunikacyjne bardzo się rozciągnęły. Natomiast Wojsko Polskie walczyło już na swoim terenie, przy bardzo skróconych własnych liniach aprowizacyjnych, a co najważniejsze otrząsnęło się z szoku kolejnych porażek i psychozy ciągłego odwrotu. Przede wszystkim dobrze wykonało manewr strategiczny, jaki przygotowany został przy współpracy naczelnego wodza Józefa Piłsudskiego i szefa sztabu gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Pozwoliło to skoncentrować siły polskie w uderzeniu na Front Zachodni Tuchaczewskiego, który nie został na czas wzmocniony posiłkami z Frontu Południowo-Zachodniego. To był błąd Sowietów, a w jego popełnieniu kluczową rolę odegrał Józef Stalin - komisarz polityczny tego frontu, który przede wszystkim chciał zdobyć Lwów. Mimo rozkazu władz centralnych w Moskwie, Stalin jak umiał przeszkadzał w oddaniu idącemu na Warszawę Tuchaczewskiemu kilku dywizji, a przede wszystkim armii konnej Budionnego. Gdyby decyzje Moskwy o przesunięciu wojsk z idącego na Lwów frontu południowego zostały wykonane na czas, pogrom wojsk sowieckich w Bitwie Warszawskiej nie byłby taki oczywisty, a na pewno miałby mniejszą skalę. Armia Czerwona własnymi błędami czy też ambicjami części swoich dowódców z Frontu Południowo-Zachodniego powiększyła rozmiar klęski.

Ale podkreślę to raz jeszcze: najważniejszy wydaje mi się pierwszy czynnik - na terenie Polski Armia Czerwona pierwszy raz zderzyła się z siłą nowoczesnego narodu, którego nie znalazła ani na Ukrainie, ani na Białorusi. Tam znajdowało się społeczeństwo, w którym instynkt klasowy był wielokrotnie silniejszy niż solidarność narodowa. Pod Warszawą siła patriotyzmu okazała się skuteczną zaporą dla rewolucji bolszewickiej.

Skąd wzięła się nazwa "cud nad Wisłą"?

To pojęcie, częściowo w intencji pomniejszenia znaczenia decyzji i dowództwa Józefa Piłsudskiego, upowszechniła prasa w połowie sierpnia 1920 roku. Ale nie tylko, należy bowiem podkreślić, że odwołanie do czynnika nadprzyrodzonego wiązało się także ze świadomą mobilizacją społeczeństwa prowadzoną przez Kościół, który nie brał udziału w rozgrywce politycznej między Narodową Demokracją a piłsudczykami. Po prostu Kościół mobilizował cały naród do obrony przed bezbożnym najeźdźcą ze Wschodu. Odwoływał się przy tym do symboli czytelnych dla mas chłopskich. Dla przeciętnego człowieka nie było istotne, czy decyzje podejmuje Piłsudski, czy ktoś inny. Ważne było to, że zbliżało się istotne i czytelne dla wszystkich katolików święto Matki Bożej z 15 sierpnia. Odwołanie do opieki Opatrzności, orędownictwa Matki Bożej miało charakter świadomego zabiegu mobilizującego Polaków do wytrwania, wysiłku i walki o odrzucenie bolszewików od granic Polski.

Pozostaje odwieczny problem o autorstwo sukcesu w Bitwie Warszawskiej. Laury w zakresie dowodzenia należą się naczelnemu wodzowi, ponieważ to on zawsze ponosi odpowiedzialność w razie klęski, a jeśli jest zwycięstwo - ma prawo do laurów. Plan Bitwy Warszawskiej opracował szef sztabu gen. Tadeusz Rozwadowski, więc w tym sensie on także zasługuje na bardzo duże uznanie, tym bardziej że w pierwszych dniach sierpnia pod wpływem kolejnych klęsk Piłsudski przeżywał autentyczne załamanie psychiczne. Natomiast szefa sztabu w tym momencie rozpierała niesłychana energia i optymizm. Kiedy inni stukali się w głowę, on powtarzał, że pobijemy bolszewików. Tłumaczył, że ich parcie na zachód nie ma zasadniczego znaczenia, ponieważ idą w pułapkę, którą na nich szykujemy. Ten optymizm, którym tryskał Rozwadowski, i plan przygotowany pod jego kierunkiem, odegrały niewątpliwie bardzo istotną rolę w podtrzymaniu ducha i w ostatecznym rozgromieniu bolszewików.

Ważne było także wsparcie Francji symbolizowane przez generała Weyganda, choć on sam podkreślał, że nie jest autorem zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej. Ale z drugiej strony nie można niewdzięcznie twierdzić, że pomoc francuska nie miała żadnego znaczenia. Nie chodzi tu o samo tylko doradztwo strategiczne generała Weyganda, ale fakt, że Polacy widzieli obok siebie dużą grupę oficerów francuskich - ponad dwa tysiące. W tym sensie mogli nie czuć się całkiem opuszczeni. W tym czasie Anglia robiła wszystko, żeby zaszkodzić Polsce. Pod wodzą premiera Davida Lloyda George'a dążyła do jak najszybszego kompromisu z bolszewikami. Natomiast Francja pod

przewodnictwem premiera Alexandre'a Milleranda zdecydowanie Polsce pomagała, zarówno dyplomatycznie, jak militarnie, choć w zakresie ograniczonym, ale symbolicznie ważnym dla Polaków. Wszystkie te czynniki składają się na ów "cud nad Wisłą". Nie analizuję czynnika nadprzyrodzonego, który analizie się nie poddaje.

Czy zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej i późniejsze zostały dobrze wykorzystane przez stronę polską?

To zależy od tego, co rozumie się przez pojęcie "dobrego wykorzystania". Często zarzucamy sobie w historii, że nasi przodkowie umieli wygrywać wojny, a nasi dyplomaci nie umieli wygrywać pokoju po zwycięskiej bitwie. W 1920 roku rokowania pokojowe nabrały przyśpieszenia we wrześniu i toczyły się w warunkach, kiedy zdecydowana większość społeczeństwa polskiego oraz cała praktycznie reprezentacja sejmowa domagały się pokoju. W państwie demokratycznym tego rodzaju jednoznaczne nastawienie nie mogło być lekceważone. W tym sensie sugestie podtrzymywane przez Piłsudskiego, a raczej przez jego propagandowe otoczenie, że Polska mogła znów walczyć o Ukrainę albo nawet pójść na Moskwę, są po prostu sprzeczne z rzeczywistością. Polacy tego nie chcieli, a nie można było działać wbrew ich woli nie tylko ze względu na system demokratyczny, który to wykluczał, ale biorąc pod uwagę realne możliwości. Kontynuowanie wojny aż do zasadniczych zmian na wschodzie, na przykład do obalenia bolszewików albo ustanowienia niepodległej Ukrainy, było wykluczone ze względu na ograniczone siły ekonomiczne i militarne. Polska nie była w stanie prowadzić kolejnej wojny zimowej, utrzymywać zmobilizowanej armii na poziomie jednego miliona żołnierzy, wyposażyć jej wojskowo i rozbić ostatecznie bolszewików.

Trzeba też wziąć pod uwagę, że państwa zachodnie, decydujące o polityce europejskiej po I wojnie światowej, zwłaszcza Wielka Brytania, ale także Francja, nie były zainteresowane trwaniem sytuacji wojennej w Europie Wschodniej i bardzo mocno naciskały na Polskę, aby wojna została zakończona. W tym sensie konflikt zbrojny musiał zakończyć się jesienią 1920 roku na warunkach kompromisu, którego owocem stała się ostatecznie granica ryska oraz podział Ukrainy i Białorusi. Niektórzy krytycy tych ustaleń twierdzili, że przecież Polska mogła walczyć o granice z roku 1772. Należeli do nich zwłaszcza ziemianie tracący swoje dziedzictwo na dalszych kresach wschodnich. Głosem ziemian odezwał się między innymi Marian Zdziechowski, mówiący o zaprzepaszczeniu dziedzictwa cywilizacji łacińskiej na kresach oddanych bolszewikom. Drugi głos krytyki podnosił, że to narodowi demokraci mieli rzekomo zaprzepaścić szansę, jaką było pozyskanie Mińska i większej części Białorusi.

W istocie prawda jest inna. Powtórzmy: Polski nie było stać na walkę o pełną stawkę -odzyskanie całego obszaru Białorusi i Ukrainy, ponieważ bolszewicy, zwłaszcza jeśli chodzi o Ukrainę, gotowi byli na walkę do upadłego. Tak samo jak Polacy wiedzieli bowiem, że Ukraina jest kluczem do strategicznego układu sił w Europie Wschodniej: kto będzie miał Kijów, ten będzie decydował o przyszłości tej części świata. Polska nie miała siły, a jak się okazało latem 1920, Ukraińcy nie mieli ochoty iść z Polską. W tym momencie trzeba było taki stan rzeczy zaakceptować. Jeśli chodzi o Mińsk i możliwość pozyskania większej części Białorusi, to w istocie nie narodowi demokraci, ale Piłsudski świadomie z tego zrezygnował. W czasie rokowań pokojowych w Rydze wsparł koncepcję rezygnacji z dalszych zdobyczy białoruskich w zamian za uzyskanie pasa ziemi oddzielającego Litwę od Rosji

sowieckiej. W tym czasie Litwa odgrywała rolę konsekwentnego wroga Polski i faktycznego sojusznika Rosji sowieckiej. Połączenie graniczne tych dwóch krajów, zważywszy, że Litwa z drugiej strony graniczyła Prusami Wschodnimi, tworzyłoby ów strategiczny korytarz między Rosją sowiecką a Niemcami, który pozwalałby ominąć "polskie przepierzenie". A do tego Piłsudski za wszelką cenę nie chciał dopuścić, dlatego za ustępstwo sowieckie w tej dziedzinie gotów był zrezygnować z Mińska, którego bolszewicy wcale tak łatwo nie chcieli oddać.

Różnego rodzaju legendy historyczne bardzo głęboko utrwalone w historiografii polskiej, a tym bardziej świadomości potocznej, mówiące o tym, że można było uzyskać o wiele więcej, w dużej mierze rozmijają się z faktami. Pokój ryski był kompromisem, który oznaczał klęskę planów Lenina w marszu do Berlina przez "trupa białej Polski", jak o tym mówił rozkaz Tuchaczewskiego z lipca 1920 roku. Polska nie została trupem, Armia Czerwona nie doszła do Berlina, ani do Budapesztu, ani do Pragi. Została zatrzymana i Europa Środkowo-Wschodnia uzyskała szansę istnienia i swobodnego rozwoju przez następnych dwadzieścia lat. Miało to olbrzymie znaczenie, o czym przekonuje doświadczenie krajów bałtyckich, które przecież miały możliwość przetrwania dzięki zwycięstwu Polski w Bitwie Warszawskiej. Gdyby nie to zwycięstwo, w okresie międzywojennym nie byłoby też niesowieckiej Czechosłowacji, niesowieckich Węgier, niesowieckiej Rumunii. Ale z drugiej strony Polska także poniosła porażkę. Nie powiodły się plany Piłsudskiego zmierzające do utworzenia trwałego, stabilnego zabezpieczenia przed imperializmem rosyjskim, tym razem w sowieckiej szacie. Ukraina w jakiejś mierze nie dojrzała do takiej współpracy, a Polska była za słaba, aby tę współpracę zabezpieczyć militarnie. Wszystko to razem sprawiło, że również dla Polski pokój ryski oznaczał zaakceptowanie pewnego niepowodzenia. W Rydze osiągnięto kompromis, który dał nam dwadzieścia lat i nic więcej. Stałego rozwiązania problemów dać nie mógł.

Prof. **Andrzej Nowak** - historyk, kierownik Zakładu Historii Europy Wschodniej w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, kieruje także Pracownią Dziejów Rosji i ZSRR w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk; redaktor naczelny dwumiesięcznika "Arcana". Zajmuje się historią polityczną i myślą polityczną Europy Wschodniej w XIX i XX w. Opublikował m.in.: *Polacy, Rosjanie i biesy. Studia i szkice historyczne z XIX i XX w.* (1998), *Polska i trzy Rosje. Studium polityki wschodniej Józefa Piłsudskiego (do kwietnia 1920)* (2001), *Od imperium do imperium. Spojrzenie na historię Europy Wschodniej* (2004).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Układ w Krewie

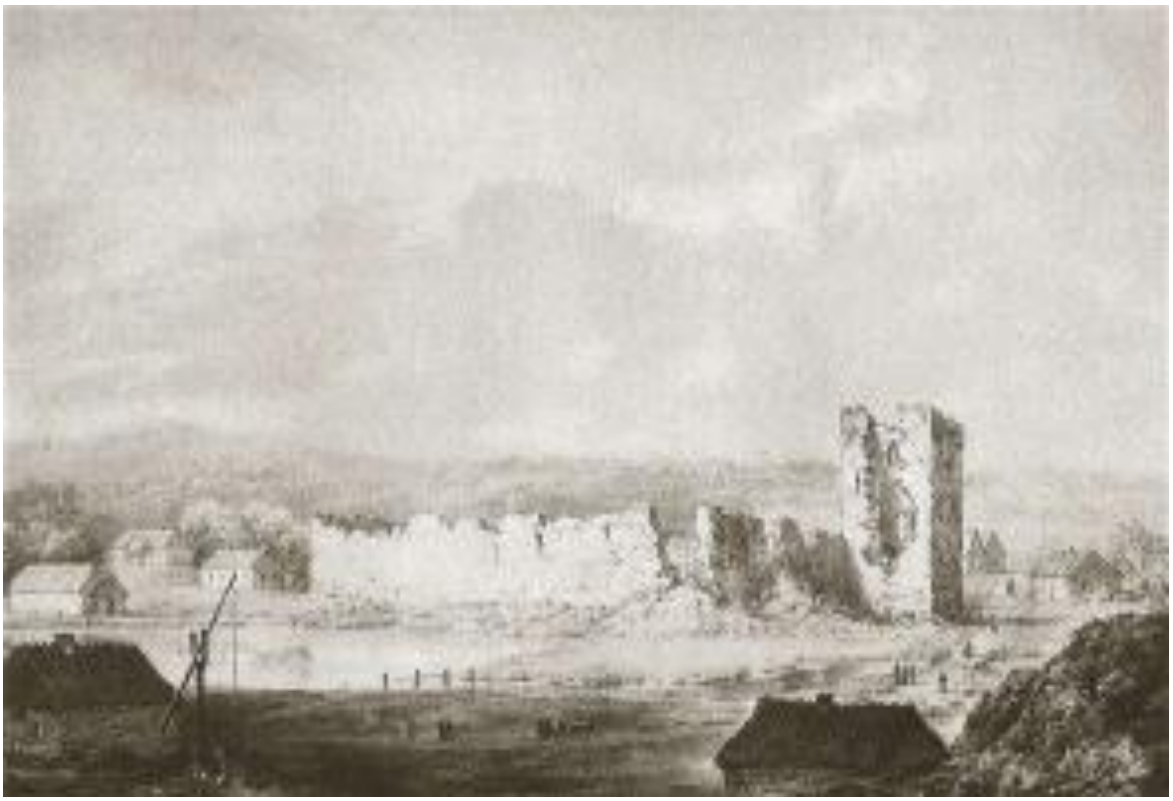

rycina: Napoleon Orda; Wikimedia Commons

14 sierpnia 1385 r. na zamku w Krewie zawarto układ polsko-litewski. Książę litewski Jagiełło obiecał, że ożeni się z wybraną na króla Polski Jadwigą, najmłodszą córką zmarłego króla polskiego Ludwika Andegaweńskiego, przyjmie chrześcijaństwo w obrządku katolickim, schrystianizuje Litwę oraz przyłączy swe ziemie do Królestwa Polskiego. W zamian za to miał zostać władcą Polski i Litwy. Akt został potwierdzony pieczęciami braci litewskiego księcia: Skirgiełły, Korybuta, Lingwena i Witolda. W lutym 1386 r. Jagiełło wraz z innymi książętami przybył do Krakowa i został ochrzczony przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Bodzantę. Jagiełło otrzymał na chrzcie imię Władysław. Wkrótce odbył się jego ślub z Jadwigą, a 4 marca koronacja.

Przyczyn zawarcia unii przez Jagiełłę należy upatrywać w sytuacji politycznej Litwy. Od zachodu wzrastał nacisk Zakonu Krzyżackiego na ziemie litewskie, krzyżacy dążyli bowiem do podboju Litwy pod pretekstem konieczności jej chrystianizacji. Z kolei na wschodzie wzrastała potęga ruskiego księcia Dymitra Dońskiego. Jagiełło potrzebował więc sprzymierzeńców w walce z wrogami zewnętrznymi. Strona polska z kolei była zainteresowana ekspansją na wschodzie, co bardzo zbliżało ją do Litwy. Zbliżał oba państwa

również wrogi stosunek do Zakonu Krzyżackiego i jego ekspansji nad Bałtykiem.

Historycznego znaczenia unii należy upatrywać przede wszystkim w jej konsekwencjach kulturowych.

BW

Z prof. **Marią Koczerską**
rozmawia Wojciech Kozłowski

Czego dotyczą spory o akt unii w Krewie?

Dokument wystawiony przez wielkiego księcia litewskiego Jagiełłę w Krewie 14 sierpnia 1385 roku jest niepozorny. Spisany został po łacinie na małym arkuszu pergaminu o wymiarach 33 na 22 cm, a właściwie 26 cm, bo należy doliczyć zakładkę u dołu, na której niegdyś wisiało pięć pieczęci książąt litewskich: Jagiełły, Skirgiełły, Korybuta, Witolda i Lingwena. Jeszcze w 1837 roku, kiedy po raz pierwszy opublikował go drukiem historyk literatury Michał Wiszniewski, wisiały na paskach pergaminowych jeszcze trzy pieczęcie. Padły one jednak łupem barbarzyńskich kolekcjonerów.

Dokumentem zajmowało się wielu historyków, w tym Władysław Abraham, Henryk Paszkiewicz, Oskar Halecki, Stanisław Kutrzeba, Henryk Łowmiański, Juliusz Bardach, Grzegorz Błaszczyk, Jūratė Kiaupienė. Przez wiele lat uczeni spierali się o treść tego dokumentu i jego charakter prawny. Najważniejsze było pytanie, czy stanowi on pierwszy akt unii polsko-litewskiej, czy też sformułowane w nim zobowiązanie Jagiełły do przyłączenia swych ziem litewskich i ruskich do Korony Królestwa Polskiego nie uzasadnia jeszcze nadania mu takiej nazwy. Starano się wytłumaczyć, dlaczego na określenie tego przyłączenia użyto słowa *applicare*, który nie jest ścisłym terminem prawniczym.

Zastanawiano się także, dlaczego ten ważny dokument przechowywano - prawdopodobnie od początku - w Archiwum Kapituły Katedralnej w Krakowie, gdzie znajduje się do dziś i dlaczego nie powoływano się nań w toku sporów z Litwinami o charakter związku obu państw. Nikt nie kwestionował jego autentyczności - aż do opublikowania artykułu litewskiego prawnika, Jonasa Dainauskasa, który uznał go za falsyfikat [*Autentyczność aktu krewskiego*, "Lituanico-Slavica Posnaniensia. Studia Historica" t. 2, 1987]. Argumenty, które przedstawił, nie były jednak mocne. Jedne wynikały z jego nieznajomości reguł paleograficznych, obowiązujących w piśmie gotyckim w średniowieczu, inne dotyczyły miejsca przechowywania dokumentu i braku wzmianek o nim w późniejszych pertraktacjach polsko-litewskich. Tymczasem w Archiwum Kapituły Katedralnej w Krakowie zachowały się nie tylko dokumenty kościelne, lecz również takie, w których władca, tak jak w dokumencie krewskim, podejmował zobowiązania w stosunku do społeczeństwa szlacheckiego, na przykład dokument budziński Ludwika Węgierskiego z 1355 roku.

Obecnie nikt już nie kwestionuje autentyczności dokumentu krewskiego - świadczy o tym choćby jego litewskie wydanie przez zespół pod kierunkiem litewskiej uczonej Jūratė Kiaupienė w 2002 roku. Nadal dyskusyjny jest jego charakter, a wielowiekowe zapomnienie wymaga wyjaśnienia.

Jak można zatem określić akt krewski i jakie było jego znaczenie?

Dokument ten ma formę dziwną jak na umowy międzynarodowe. Jest to raczej uwierzytelniony protokół pertraktacji małżeńskich między Jagiełłą, od 1377 roku wielkim księciem litewskim, a panami polskimi, działającymi w imieniu małoletniej - w 1385 roku miała prawdopodobnie 11 lat - królowej Polski Jadwigi, oraz matką Jadwigi, królową węgierską Elżbietą Bośniaczką. W dokumencie mówi się wprost o pamiętniku - *memoriale* - tych pertraktacji. Opowiada się, jak Jagiełło wysłał do Polski swoje poselstwo z prośbą o rękę Jadwigi, jak potem Polacy i Litwini pojechali na Węgry prosić o zgodę królową Węgier, a następnie w Krewie zdali sprawozdanie z tych poselstw księciu Jagielle. W dokumencie wyliczono też zobowiązania ślubne Jagiełły. Miał on przyjąć wiarę katolicką Kościoła rzymskiego przez chrzest dokonany wraz ze swoimi braćmi jeszcze nieochrzczonymi, wielu Giedyminowiczów przyjęło już bowiem wiarę chrześcijańską w obrządku wschodnim, i wszystkimi mieszkańcami swoich ziem. Wymieniono ponadto inne zobowiązania Jagiełły: miał on przeznaczyć wszystkie swoje skarby na odzyskanie strat obojga państw - Polski i Litwy; zapłacić księciu austriackiemu 200 tysięcy florenów jako wadium za zerwanie umowy ślubnej z Habsburgami; wypuścić z niewoli litewskiej wszystkich chrześcijan, a zwłaszcza Polaków obojga płci pojmanych przez Litwinów w wyniku działań wojennych, oraz przyłączyć do Korony Królestwa Polskiego wszystkie swoje ziemie Litwy i Rusi.

W dokumencie tym nie było mowy o tym, że Jagiełło ma zostać królem Polski. O tym zadecydowała elekcja dokonana przez szlachtę polską w Lublinie 2 lutego 1386, po przekroczeniu przez Jagiełłę granic Polski.

A zatem dokument krewski nie był aktem unii, czyli związku obu państw, chociaż to on właśnie ten związek rozpoczynał. Jagiełło jako władca patrymonialny, traktujący podległe sobie ziemie jako swoje i rodu Giedyminowiczów dziedzictwo, zadecydował o jego przyłączeniu do państwa polskiego. Słowo *applicare* - przyłączyć - nie było terminem precyzyjnym, jak na przykład słowo *incorporare* - wcielić, było jednak niekiedy używane w innych dokumentach, dotyczących włączenia określonych ziem. Kazimierz Wielki użył go na przykład w dokumencie o czasowym włączeniu ziemi płockiej do swego państwa w 1351 roku.

Dlaczego akt krewski został zapomniany?

Trudno powiedzieć, że zapomniano o nim zupełnie w XV wieku. W roku 1445 został przepisany w kopiariuszu dokumentów, przechowywanych w Archiwum Kapituły Katedralnej w Krakowie, tzw. *Liber privilegiorum 2*, zwanym również *Liber antiquus*. Długosz znał go doskonale i wykorzystał w swoich *Rocznikach czyli Kronikach sławnego Królestwa Polskiego,* choć wprost się nań nie powoływał, przy opisie poselstwa Jagiełły z 1385 roku z prośbą o rękę Jadwigi. Po raz drugi streścił go Długosz w swych *Rocznikach* pod rokiem 1448, opisując zjazd lubelski i przytaczając polskie argumenty unijne, kiedy Litwini zażądali od Polaków usunięcia z aktów unii słów o inkorporacji ziem Litwy, Żmudzi i Rusi, które znalazły się w dokumentach Władysława Jagiełły i Witolda. Słowa o inkorporacji pochodziły jednak nie z aktu krewskiego, ale z dokumentu unii horodelskiej z roku 1413, w którym Jagiełło i Witold, powołując się na czasy chrztu Jagiełły i Litwinów oraz jego koronacji na króla Polski, przypominali, że ziemie litewskie zostały wtedy wcielone i przyłączone do Królestwa Polskiego, co też w akcie horodelskim odnawiali. Jednak w innym artykule tego samego dokumentu unii horodelskiej zagwarantowano odrębność Wielkiego Księstwa Litewskiego wobec Królestwa Polskiego. Jest to

przestroga dla historyków, że dokumenty wagi państwowej trzeba dokładnie analizować w całej ich treści i że stan faktyczny wynika z uwarunkowań politycznych w określonym czasie, niezależnych od sformułowań aktów pisanych.

Skoro dokument wystawiony przez Jagiełłę w 1385 roku nie był aktem unii, ale zatwierdzonym przez wielkiego księcia litewskiego protokołem pertraktacji w sprawie jego małżeństwa z Jadwigą, to z chwilą wypełnienia warunków w nim zawartych stracił swe znaczenie. Sformułowanie dotyczące przyłączenia Litwy do Polski było nieprecyzyjne, tym bardziej trzeba było go zastąpić aktami wagi państwowej o wyraźnej, ściśle prawniczej terminologii. Takim aktem był akt unii horodelskiej, który ustalał nowy charakter związku Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego i do niego głównie odwoływano się w dalszych pertraktacjach.

Prof. **Maria Koczerska** - historyk, pracownik Instytutu Historycznego UW, specjalizuje się w dziejach Polski późnośredniowiecznej.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Bitwa pod Worsklą

12 sierpnia 1399 r. nad rzeką Worsklą doszło do bitwy pomiędzy wojskami tatarskimi a litewsko-polskimi. Wojska księcia litewskiego Witolda poniosły sromotną klęskę. Wśród wielu poległych znalazł się m.in. starosta i wojewoda krakowski Spytek z Melsztyna.

Do wyprawy doszło z inicjatywy księcia Witolda. Litwa podbiła wiele ziem ruskich, jednak to nie wystarczyło ambitnemu księciu. W 1398 r. zawarł pokój z Zakonem Krzyżackim, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo potrzebne do podjęcia wyprawy na wschód. W układzie tym przekazał krzyżakom Żmudź oraz obiecał pomoc w jej ujarzmieniu. Witold planował osadzić na wschodzie wygnanego przez mongolskiego władcę Tamerlana chana Złotej Ordy Tochtamysza, obiecał on bowiem oddać Witoldowi władzę nad podbitymi terenami ruskimi, jeśli ten pomoże odzyskać mu panowanie nad Tatarszczyzną. W wyprawie na wschód wsparły Litwinów oddziały polskie oraz krzyżackie.

Klęska nad Worsklą zahamowała ekspansję litewską na wschodzie. Jej rezultatem było także osłabienie pozycji Witolda. Do czasu przegranej bitwy starał się on prowadzić politykę niezależną od Polski, podkreślając niezależność Litwy pomimo zawartej w 1385 r. unii pomiędzy oboma państwami. Przegrana nad Worsklą uświadomiła Witoldowi konieczność zacieśnienia stosunków z Polską. W 1401 r. doszło do zawarcia unii wileńsko-radomskiej. Witold został dożywotnim władcą Litwy, która została uznana w ten sposób za odrębne państwo. Zwierzchnią władzę nad nią miał zachować jednak Władysław Jagiełło.

BW

Z dr. hab. **Jarosławem Nikodemem** rozmawia Wojciech Kozłowski

Polityka wschodnia Litwy spoczywała na barkach ojca Jagiełły Olgierda. Jakie były założenia tej polityki i kto był głównym przeciwnikiem Litwy w tym czasie?

Olgierd był wielkim księciem, więc to on decydował o polityce państwa, w całości biorąc za nią odpowiedzialność. Podział wewnętrzny - nie tyle władzy, ile kompetencji - opierał się na wzajemnym zaufaniu Olgierda i jego brata Kiejstuta, który z racji sąsiedztwa, jako książę trocki, odpowiadał za ochronę przed zagrożeniem krzyżackim, natomiast Olgierd zajmował się całością polityki i firmował politykę wschodnią.

Zasadniczą jej myślą była dominacja w tej części Europy. Moskwa nie była wtedy jeszcze tak wielką potęgą, jaką stała się później, ale w Wilnie musiano sobie doskonale zdawać sprawę z tego, że w pewnym momencie Moskwa stanie się głównym kontrkandydatem Litwy do dominacji na Rusi. Z jednej strony chciano się temu przeciwstawić, a z drugiej - zbudować mocarstwową Litwę. Stąd też trzy wyprawy zbrojne, które Olgierd poprowadził przeciwko Moskwie - nieudane w tym sensie, że nie miały rozstrzygnięcia i kończyły się rozejmami.

Jak wyglądała współpraca króla polskiego z Witoldem, który faktycznie sprawował władzę na Litwie, nie będąc nawet je wielkim księciem?

Tytuł wielkoksiążęcy traktowany instytucjonalnie pojawił się dopiero po unii wileńsko-radomskiej z 1401 roku. Od tego czasu przysługiwał on Witoldowi jako norma prawna. Rządy na Litwie oddawała Witoldowi ugoda ostrowska z 1392 roku. Zwracała mu ojcowiznę, czyli księstwo trockie, i te ziemie, które stanowiły własność Kiejstuta, ale przy tym dawała mu również "namiestniczą" władzę na Litwie. Proszę pamiętać, że choć to określenie jest popularne i przyjęte w historiografii, ale trzeba mieć świadomość, że to jest jedynie twór historiograficzny, ponieważ nie wiemy, jak się ta władza naprawdę nazywała - żadne źródło tego nie przekazuje. Na pewno nie była władzą wielkoksiążęcą, bo ta po unii oznaczała jakąś formę samodzielności na Litwie. Tej Witold nie miał, podobnie jak jego poprzednik, brat Jagiełły Skirgiełło, który po wyjeździe Jagiełły do Polski, czyli po koronacji, pełnił na Litwie analogiczne funkcje, co Witold od 1392 roku. Tak więc, skoro nie ma innej nazwy, która mogłaby ten charakter rządów oddawać, historycy nazwali tę formę rządów rządami namiestniczymi i one się chyba do tego sprowadzały, czyli gwarantowały Skirgielle, a później Witoldowi pełną swobodę w polityce wewnętrznej, oczywiście pod warunkiem, że to nie przekraczało interesów Jagiełły jako hospodara litewskiego. Z drugiej strony, nie dawały żadnej samodzielności w polityce zewnętrznej: Skirgiełło mógł zawierać z innymi państwami najwyżej jakieś porozumienia czy rozejmy, nie wolno mu było natomiast decydować o polityce zewnętrznej Litwy.

Wedle porozumienia z 1392 roku - a to jest bardzo ważna sprawa dla kontekstu późniejszego, który najpierw doprowadził do porozumienia salińskiego w 1398 roku, a potem do bitwy nad Worsklą - Witoldowi nie wolno było prowadzić samodzielnej polityki zagranicznej.

A prowadził.

Prowadził. Opisy w historiografii różnią się w szczegółach. Moim zdaniem, ugoda ostrowska miała w zamyśle Jagiełły oznaczać zaprowadzenie pewnej stabilizacji na Litwie. Założeniem było, że

pozostawieni do rządów na wielkich obszarach wschodnich dwaj bracia królewscy - Skirgiełło i Korybut - będą w jakiś sposób kontrolowali Witolda, a oddanie mu szerokiego zakresu władzy zaspokoi jego ambicje. Przełom XIV i XV wieku najlepiej udowadnia fiasko polityki królewskiej.

Czy można uznać, że celem Witolda było stać się samodzielnym władcą, a polityka wschodnia miała mu zapewnić właściwą pozycję?

To najlepiej opisuje zagadnienie. Sądzę, że jest to klucz do zrozumienia istoty polityki litewskiej końca XIV wieku - od momentu, kiedy Witold zaczął tam odgrywać pierwszoplanową rolę. O żadnej wspólnej polityce Jagiełły i Witolda po roku 1392 nie może być mowy.

Warto się zatem zastanowić nad pewnym strategicznym planem Witolda.

Ocena polityki wschodniej Witolda w historiografii wskazuje na dwa cele: stworzenie wielkiej Litwy terytorialnej albo zdominowanie Moskwy i budowa ogromnego imperium, które by granicami sięgało bardzo daleko.

Witoldowi chodziło w pierwszej kolejności o usamodzielnienie na Litwie. Jeżeli zapomnimy, że jest on tylko namiestnikiem Jagiełły na Litwie, zamazujemy całą właściwie rzeczywistość. Gdyby Witold był już wtedy władcą samodzielnym, w znaczeniu prawnym, wówczas można byłoby ryzykować tezę, że chodziło mu tylko i wyłącznie o rozrost terytorialny, o stworzenie wielkiej Litwy, o wyeliminowanie Moskwy itd. Tutaj te koncepcje starszej historiografii są w pełni uzasadnione. Najważniejszy zatem kontekst to jego porozumienia z zakonem, które trzeba notować od połowy lat dziewięćdziesiątych XIV wieku, oraz z Tatarami i plany polityki wschodniej.

Czy należy traktować całą tę politykę jako wspólne działania Witolda i Jagiełły? Oczywiście, że nie - to byłaby antycypacja wydarzeń czasu Grunwaldu. Mówi się, że oni od początku współdziałali, a w dodatku byli braćmi stryjecznymi, więc bardzo się kochali itd. Te wszystkie argumenty, z jednej strony, po trosze opierają się na analizie późniejszych wydarzeń, a z drugiej są bardziej emocjonalne niż racjonalne. Kiedy bowiem analizujemy źródła, widzimy, że ani o żadnej wspólnocie interesów, ani tym bardziej o wspólnym działaniu Jagiełły a Witolda nie mogło być mowy.

Gdyby przyjąć tezę o współdziałaniu, musielibyśmy stwierdzić, że Jagiełło prowadził politykę ze swojego punktu widzenia niezmiernie ryzykowną, niemal samobójczą. Gdy utracimy z oczu kontekst dynastyczny, w ogóle nie zrozumiemy podstaw ich polityki, bo i dla Witolda, i dla Jagiełły to była kwestia najważniejsza. Polska i Litwa były w tej perspektywie drugorzędne. Jagiełło Polskę i Litwę, a Witold Litwę traktowali jako ich państwa dziedziczne, wykorzystywane do prowadzenia własnej polityki rodowej. Gdyby Jagiełło poparł dążenie Witolda do samodzielności, oznaczałoby to, że na własne życzenie ryzykował utratę własnych praw do Litwy. Uważam, że nie znajduje to potwierdzenia źródłowego, wręcz przeciwnie - kłóci się z logiką i z tym, co wiemy o zdolnościach politycznych Jagiełły.

Istnieją jednak informacje źródłowe, że w wyprawach Witolda uczestniczyło rycerstwo polskie, nie zabrakło go także nad Worsklą. Czy to nie dziwne, że Polacy brali udział w przedsięwzięciach, którym przeciwny był Jagiełło? A może było to zwykłe awanturnictwo?

Słuszne pytanie. Należy je sobie postawić, bo to szalenie ważne kwestie, których zresztą nie sposób wyjaśnić jednoznacznie. Nie przywiązywałbym do tego, co na te

temat mówi Długosz, tak wielkiej wagi, jak dotąd czyni historiografia. Jest on kontrowersyjny, a gdy się go studiuje, to widać, że jego wiedza o czasach ostatniej ćwierci XIV wieku, a nawet przełomu wieku XIV i XV, jest nader uboga, co jest skądinąd rzeczą dziwną, ale to już temat na inną dyskusję. Z drugiej strony, deprecjonowanie całego fragmentu u tego kronikarza poświęconego schyłkowi lat dziewięćdziesiątych XIV wieku, który doprowadził do Worskli, byłoby też niebezpieczne.

Nie wiem, skąd się wzięli Polacy w wyprawach Witolda. Nad Worsklą są też posiłki krzyżackie, które zjawiły się w wyniku umowy salińskiej z 1398 roku. Jednak zdaje się, że nie były one na tyle liczne, by gwarantować natychmiastowy sukces. Gdyby jednak Jagiełło sprzyjał polityce wschodniej Witolda, gdyby ją inicjował, należałoby się spodziewać znacznie większego wsparcia zbrojnego ze strony Polski. Wojciech Jastrzębiec przywozi zezwolenie papieskie na organizowanie krucjaty przeciwko niewiernym, ale wydaje mi się, że ta kwestia jest zbyt enigmatyczna, by wyciągać z niej zbyt daleko idące wnioski polityczne. Udział polskiego rycerstwa nie jest masowy - gdyby był, bitwa mogłaby mieć inny przebieg. Nie zaryzykowałbym daleko idącego twierdzenia, że to wyłącznie awanturnictwo czy chęć zdobycia sławy.

Najbardziej interesujący jest udział w tym wszystkim Spytka z Mensztyna, który po 1395 roku jako książę zachodniego Podola pozostawał podporą i filarem rządów Jagiełły w Polsce. Dlaczego Spytek podążył nad Worsklę? Czy pociągnęło go nieznane, chęć sławy, osiągnięcie jakichś dodatkowych korzyści? Nie wiem. Może zmieniał kurs polityczny, stając się sprzymierzeńcem dążeń Witolda? To ryzykowna hipoteza, ale i jej chyba nie można wykluczać bez podjęcia dodatkowych badań.

Z kolei królowa Jadwiga miała powstrzymywać polskich rycerzy przed wyprawianiem się na Tatarów. Znaczyłoby to, że oni ciągnęli tam masowo.

Albo też Jadwiga zniechęcała Witolda, ponieważ przeczuwała klęskę. Ale gdyby tak było, to może w Krakowie po prostu zdawano sobie sprawę, że to przedsięwzięcie jest zbyt ryzykowne z czysto militarnego punktu widzenia.

Trzeba pamietać jeszcze o jednym: Witold był politykiem, który umiał zjednywać ludzi i miał w sobie coś, co sprawiało, że polskie rycerstwo lgnęło do niego w ciągu całego jego panowania, aż do samego końca w 1430 roku.

Co właściwie przyniosłoby zwycięstwo Witolda?

Przede wszystkim uzyskałby on od Tatarów prawa do Rusi. Dalszym etapem byłaby z pewnością próba podporządkowania sobie Moskwy przy użyciu potencjału mongolskiego. Być może ogłosiłby się wówczas carem, jak pisał przed laty Feliks Koneczny - trudno być tu czegokolwiek pewnym. Na pewno zostałby samodzielnym władcą Wielkiego Księstwa Litewskiego - to rzecz najistotniejsza.

I koniec z unią?

Niekoniecznie. On był pod tym względem bardzo ostrożny. Nawet w czasie "burzy koronacyjnej" w latach 1429-1430, mimo że za wszelką cenę chciał korony i bardzo dużo dla niej ryzykował, związków z Polską do samego końca nie zerwał.

A może opanowawszy Wschód, Witold zaatakowałby Zakon? W tym momencie umowa salińska z 1398 roku byłaby nie tyle ustępstwem przed Krzyżakami, ile zagraniem taktycznym obliczonym na

to, że Witold zaraz pokona Wschód i będzie mógł z całą siłą uderzyć na Zakon?

Tego wykluczyć nie można. Kiedy rozważamy, co Jagiełło mógł myśleć o południowych planach Witolda, nie można zapominać o układzie salińskim, bo on był przecież wymierzony przede wszystkim w Polskę i w Jagiełłę. Witold okupił porozumienie z Krzyżakami ogromną ceną, ponieważ oddał zakonowi Żmudź. Zrobił coś niezwykle kompromitującego i ryzykownego zarazem. Jestem przekonany, że stało się to bez wiedzy i zgody Jagiełły. Kiejstutowicz uczynił zakon sojusznikiem we własnej polityce i tym samym przekraczał zakaz prowadzenia samodzielnej polityki zagranicznej. Salin był groźny dla dziedzicznych praw Jagiełły do Litwy, ale bezpośrednio też dla Polski, stąd szczerze wątpię, by Jagiełło mógł popierać, a tym bardziej angażować się w południową politykę Witolda.

Dr hab. **Jarosław Nikodem** - historyk, pracownik Instytutu Historii UAM; zajmuje się m.in. historią polityczną Europy Środkowo-Wschodniej za panowania Władysława Jagiełły.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Ustanowienie Krzyża Walecznych

Przywrócenie przez Sejm Ustawodawczy orderu Virtuti Militari wywołało w środowisku wojskowym dyskusję na temat ustanowienia orderu niższej rangi. Potrzebę wprowadzenia takiego odznaczenia sygnalizowali wprost niektórzy dowódcy. Chodziło o podniesienie morale żołnierzy w szczególnie ciężkim okresie wojny polsko-radzieckiej.

Projekt "Krzyża Waleczności", jak nazywano początkowo odznakę, powstał w V Oddziale Sztabu Głównego Naczelnego Dowództwa. Został on zaaprobowany przez Wodza Naczelnego 4 sierpnia i już 11 sierpnia odznaczenie zostało ustanowione rozporządzeniem Rady Obrony Państwa, które podpisał Naczelnik Państwa Józef Piłsudski i premier Wincenty Witos. Początkowo odznaka przeznaczona była dla zasłużonych wojskowych i osób cywilnych współpracujących z wojskiem, którzy wykazali się szczególnym męstwem w walkach po 1918 r. Jednak później Krzyżem odznaczano także osoby walczące w Legionach Polskich i formacjach wojskowych za granicą, powstańców wielkopolskich i śląskich, żołnierzy wojny 1918-1920, działaczy Polskiej Organizacji Wojskowej. Odznaką wyróżniono także weteranów Powstania Styczniowego. Prawo nadawania Krzyża Walecznych przysługiwało Naczelnemu Wodzowi, który mógł je scedować na podległych dowódców wojskowych, ale nie niższych rangą niż dowódca pułku.

W okresie międzywojennym odznaczeni Krzyżem Walecznych mieli dużo przywilejów, m.in. prawo do szybszego awansu wojskowego, prawo wyborcze do Senatu, pierwszeństwo przy obsadzaniu stanowisk urzędniczych w służbie państwowej. W okresie II wojny światowej Krzyż Walecznych nadawał Naczelny Wódz żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Odznaczeniem tym uhonorował także w 1943 r. gen. Zygmunt Berling kilkudziesięciu żołnierzy 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki za czyny w bitwie pod Lenino. 22 grudnia 1944 roku dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego uznał Krzyż Walecznych za odznaczenie wojenne w Polsce Ludowej. Wówczas odznaczenie było nadawane przez Radę Państwa.

Obecnie procedurę odznaczania Krzyżem Walecznych reguluje ustawa z 16 października 1992 r. o orderach i odznaczeniach. Krzyż Walecznych wolno nadać tylko w czasie wojny i nie później niż pięć lat po jej zakończeniu. Może być nadany także formacji wojskowej i miejscowości.

WL

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

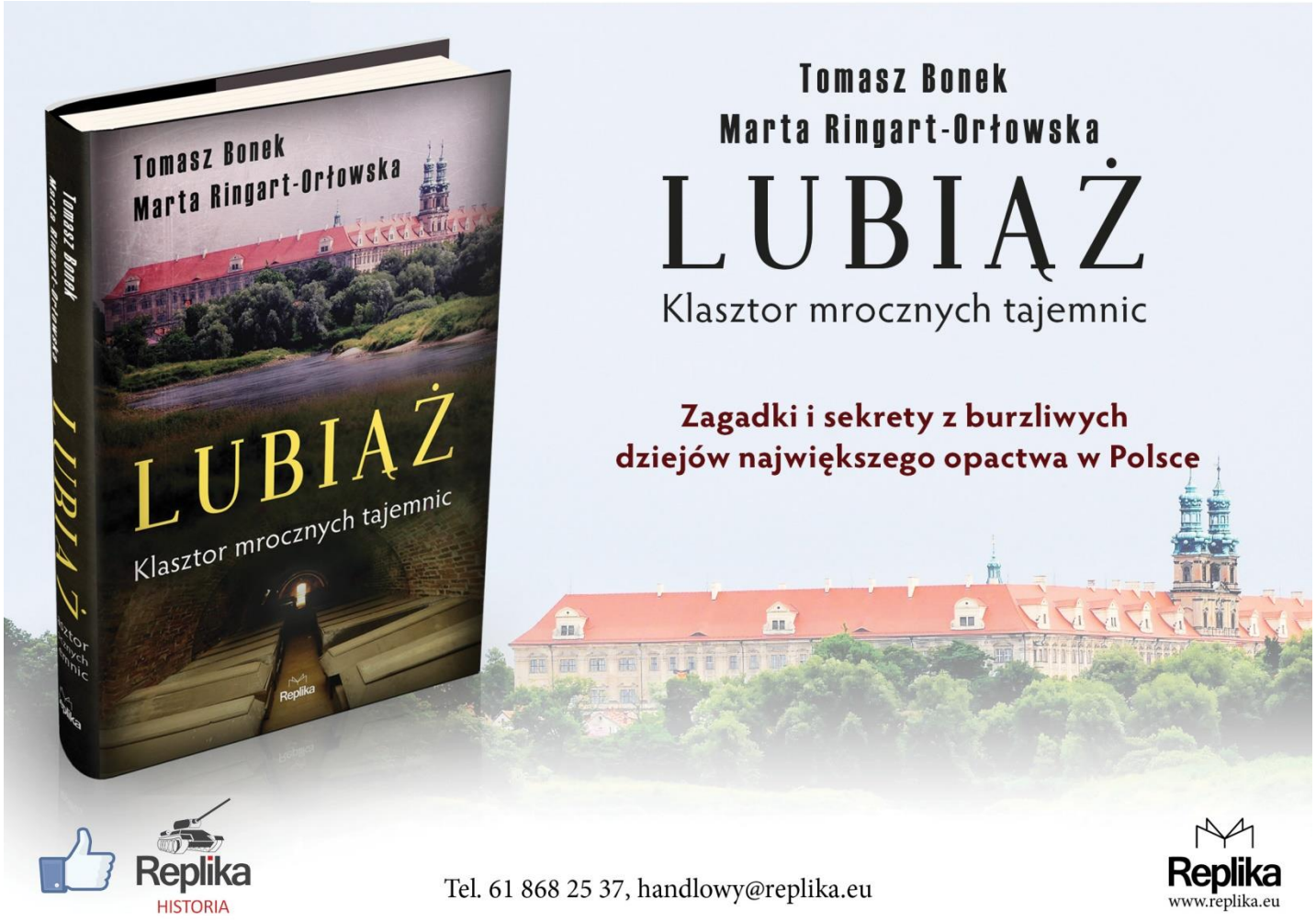

Wybuch Powstania Warszawskiego

Jerzy Tomaszewski (1979) Epizody Powstania Warszawskiego, Warszawa: Krajowa Agencja Wydawnicza

Decyzja o podjęciu powstańczej walki z Niemcami w Warszawie została podjęta dopiero w drugiej połowie lipca 1944 r. Wcześniej kierownictwo Armii Krajowej nie zakładało działań zbrojnych w stolicy - dla uniknięcia zniszczeń i cierpień ludności cywilnej. W ramach akcji "Burza" polskie oddziały miały koncentrować się poza stolicą i wkroczyć do niej po wycofaniu się Niemców lub w natarciu wraz z Armią Czerwoną. W ten sposób postąpiono podczas wyzwalania Wilna i Lwowa. Jak pokazały te dwie akcje, oddziały AK były niezdolne do samodzielnego zajmowania większych miast, jednak współpraca z Armią Czerwoną układała się poprawnie i wspólnymi siłami zdobyto owe najważniejsze kresowe ośrodki. Tragedia rozpoczynała się po zakończeniu działań zbrojnych - oficerowie AK byli aresztowani, przez NKWD zaś oddziały rozbrajane lub włączane do armii Berlinga.

Jeszcze w lipcu Komenda Główna AK kierowała transporty broni do wschodniej Polski, uszczuplając warszawskie zapasy. 14 lipca głównodowodzący gen. Bór-Komorowski pisał, że: "Przy obecnym stanie sił niemieckich w Polsce i ich przygotowaniach

przeciwpowstańczych, polegających na rozbudowie każdego budynku zajętego przez oddziały, a nawet urzędy, w obronne fortece z bunkrami i drutem kolczastym powstanie nie ma widoków powodzenia".

Tydzień później gen. Komorowski zmienił jednak zdanie i 22 lipca 1944 zakomunikował swojemu sztabowi decyzję o podjęciu walki z Niemcami w Warszawie. Głównym pomysłodawcą był jednak gen. Leopold Okulicki "Niedźwiadek". Argumentował on, że prowadzenie walki poza Warszawą było nierealne. Wyprowadzenie z niej po kryjomu wielu uzbrojonych żołnierzy AK zajęłoby zbyt wiele czasu wobec szybko rozwijających się wydarzeń na froncie. Ponadto Okulickiemu bardzo zależało na zajęciu Warszawy przez AK, zanim zjawią się w niej Rosjanie. Wedle relacji Bora-Komorowskiego, mówił, że "przez zajęcie Warszawy przed zajęciem jej przez Rosjan musiała się Rosja zdecydować aut aut: albo uznać nas, albo siłą złamać na oczach świata". Innymi słowy, chciał osiągnąć to, co nie udało się podczas poprzednich wystąpień w ramach "Burzy": sprawić, by ZSRR zaczął traktować AK i rząd w Londynie poważnie.

Jan Grużewski; Stanisław Kopf (1957) Dni Powstania, Kronika Fotograficzna Walczącej Warszawy, Warszawa: PAX, ss. s.208 no ISBN

Samodzielne pokonanie garnizonu niemieckiego w Warszawie wydawało się władzom AK zadaniem wykonalnym, a kolejne wydarzenia zdawały się tylko potwierdzać tę tezę. 20 lipca

dokonano zamachu na Adolfa Hitlera, co pozwalało przypuszczać, że władze Trzeciej Rzeszy tracą kontrolę nad sytuacją wewnętrzną. Front na terytorium Polski posuwał się szybko i po 20 lipca Warszawę zapełniały tłumy zdemoralizowanych żołnierzy uchodzących przed Armią Czerwoną. Rodziło to nadzieje, że Niemcy nie będą się twardo bronić w Warszawie, a być może ich morale zupełnie się załamie, tak jak w 1918 r.

Tadeusz Sumiński , ed. (1959) "Pamiętniki żołnierzy baonu "Zośka". Powstanie Warszawskie", Warszawa: Nasza Księgarnia no ISBN

Decyzji o podjęciu walki zbrojnej w Warszawie, wbrew uprzednim planom, właściwie nie konsultowano z rządem polskim w Londynie ani z Naczelnym Wodzem - gen. Kazimierzem Sosnkowskim. Było to błędem, gdyż rezydujący w Londynie Polacy mieli lepsze pojęcie o aktualnym układzie sił i stosunku mocarstw do kwestii polskiej. O planach powstańczych powiadomiono Londyn dopiero 25 lipca, nie pozostawiając wiele czasu na reakcję. Ponadto Naczelny Wódz od 11 lipca przebywał we Włoszech, wizytując polski II korpus, i decyzję co do akcji zbrojnych w Polsce pozostawiał w gestii władz krajowych. Tak samo postąpił premier Stanisław Mikołajczyk.

Komenda Główna AK w Warszawie nie miała również żadnego kontaktu z wojskami radzieckimi ani wiedzy o ich dokładnych planach. Powstanie miało w zamyśle zaskoczyć Rosjan i było w gruncie rzeczy skierowane przeciwko nim, więc nie uważano za stosowne informowanie Stalina o powstańczych zamiarach. Niemal wszyscy w sztabie AK byli przekonani, że Armia Czerwona wkrótce zajmie Warszawę.

Po podjęciu decyzji o powstaniu w Warszawie do ustalenia pozostawał tylko termin jego wybuchu. Władze cywilne - Rada Jedności Narodowej - prosiła Bora-Komorowskiego o 12

godzin na zorganizowanie administracji państwowej w wyzwolonej Warszawie, do czego generał się przychylił.

W ostatnich dniach lipca w Komendzie AK zapanowała nerwowa atmosfera. W Warszawie i jej okolicach koncentrowała się niemiecka 9. armia. Chaos i demoralizację na ulicach zastąpiły równe szeregi żołnierzy i czołgi. W dzienniku 9. armii zanotowano: "Polski nacjonalistyczny ruch podziemny ogłosił dla swoich oddziałów stan pogotowia, trzeba więc liczyć się ze wzmożoną akcją sabotażową i innymi wrogimi wystąpieniami. Wskutek tego, zarządzono wzmożony nadzór nad wszystkimi obiektami. Ruchy wojsk niemieckich ze wschodu zaniepokoiły ludność. By ją przekonać o mocnym zamiarze utrzymania miasta, dowódca 9. armii zarządził, aby wszystkie nowe oddziały przybywające z zachodu i wyładowywane w Warszawie przemaszerowały w jak najlepszym porządku przez miasto". Stąd Bór-Komorowski odkładał wybuch powstania na moment rozpoczęcia się radzieckiego natarcia na Warszawę, mimo nacisku niektórych podkomendnych na energiczniejsze działanie.

Istotnie, 2. radziecka armia pancerna prowadziła już natarcie szosą lubelską na Warszawę. 30 lipca zdobyła Radzymin i Wołomin oraz Starą Miłosną. Następnego dnia jednak nastąpiło przeciwnatarcie niemieckie, w wyniku którego radziecki 3. korpus pancerny mało nie został odcięty na zdobytych pozycjach w Radzyminie i Wołominie. 1 sierpnia o 4:10 dowódca radzieckiej armii wydał rozkaz do przejścia do obrony...

Na spotkaniu w sztabie Bora-Komorowskiego o godz. 10:00, 31 lipca 1944 zdania polskich oficerów były podzielone. Trzy osoby z gen. Okulickim na czele głosowały za podjęciem walki jak najszybciej, by władze cywilne miały owe 12 godzin czasu na zorganizowanie się przed pojawieniem się Sowietów. Cztery osoby były przeciwne, w tym bezpośredni dowódca sił AK w Warszawie Antoni Chruściel "Monter", który przypominał o poważnych brakach w uzbrojeniu żołnierzy AK i uważał, że uderzenie na jeszcze niezdezorganizowanych Niemców nie ma szans powodzenia. Wobec tego znów odłożono termin rozpoczęcia walki. Następne spotkanie wyznaczono na 18:00.

W ciągu dnia pojawiły się wieści, że niemiecki garnizon w Legionowie w panice opuścił koszary, które następnie zajęli akowcy, zdobywając broń. Komunikat niemiecki informował o rozpoczęciu radzieckiego natarcia na Warszawę. Wreszcie z Londynu nadeszła wiadomość o wyjeździe premiera Mikołajczyka do Moskwy na rozmowy ze Stalinem. O godzinie 17:00 w sztabie pojawił się płk Chruściel donosząc, że radzieckie oddziały pancerne wdarły się na teren praskiego przedmościa i zdezorganizowały niemiecką obronę. Wyraził opinię, że walkę należy podjąć natychmiast, by nie okazało się, że już jest za późno.

Gen. Bór-Komorowski po konsultacji z szefem sztabu gen. Pełczyńskim, szefem operacji gen. Okulickim, komendantem okręgu płk. Chruścielem i delegatem rządu na kraj Janem Jankowskim podjął decyzję o rozpoczęciu powstania w Warszawie o godz. 17:00 następnego dnia - 1 sierpnia 1944.

Jak widać z powyższego opisu sytuacji, dowództwo AK popełniło straszliwy w skutkach błąd przy ocenie sytuacji wojskowej pod Warszawą. Wszyscy byli zgodni co do tego, że podstawowym warunkiem powodzenia powstania w stolicy było załamanie się sił niemieckich i rychłe wkroczenie Armii Czerwonej do miasta. Gen. Bór-Komorowski dzielnie opierał się naciskom wcześniejszego rozpoczynania akcji zbrojnej, postulowanego zarówno przez jego podkomendnych, jak i propagandę komunistyczną. Trzeźwo oceniał szansę

rozpaczliwie niedozbrojonej AK (na 20 tys. żołnierzy zaledwie 15-25% dysponowało użyteczną bronią) w walce z Wehrmachtem. W sztabie oceniano, że AK będzie w stanie kontrolować miasto przez parę dni, najwyżej tydzień.

A jednak Powstanie rozpoczęło się w fatalnym momencie. Rosjanie nie kwapili się z pomocą. Niemcy, choćby ze względów strategicznych, nie mogli Warszawy po prostu opuścić, gdy front przebiegał na południowy-wschód od Pragi. W otwartej walce AK nie miała szans, co zresztą pokazał już pierwszy tydzień walk. Udało się opanować znaczne obszary miasta, lecz większość najważniejszych obiektów (koszary, mosty, dzielnica rządowa, oś Alej Jerozolimskich, linie kolejowe) pozostała pod kontrolą niemiecką. Mimo niesamowitego heroizmu polskich żołnierzy - w większości młodzieży niespełna dwudziestoletniej - wyznaczone cele polityczne powstania nie zostały osiągnięte.

ŁW

Rozmowa z prof. **Normanem Daviesem**

Wiele już powiedziano o Powstaniu Warszawskim, różnie je oceniano. Czym jest ono dla Pana?

Powstanie było naturalnym, silnym i patriotycznym odruchem młodych ludzi, którzy żyli pod okupacją niemiecką przez pięć lat. Myślę, że bardzo trudno byłoby je powstrzymać. Decyzję o Powstaniu podjął wprawdzie rząd w Londynie, pozostawiając Armii Krajowej decyzję co do momentu jego wybuchu, wierzę jednak w to, że Powstanie wybuchłoby niezależnie od londyńskiego rozkazu. 31 lipca zdecydowano o terminie i wybrano go doskonale. Wiemy teraz, że sowiecki marszałek Rokossowski miał rozkaz zająć Warszawę 2 sierpnia.

Powstanie było normalnym, patriotycznym przejawem ruchu oporu, jak w wielu innych krajach. Stanowiło ogromny sukces wojskowy, o czym się zapomina. Łatwo je oceniać znając jego finał. Jednak należy pamiętać, że zadaniem powstańców było utrzymać stolicę Polski przez tydzień. Za cel stawiali sobie utrzymywanie stolicy pod kontrolą w momencie, kiedy będzie do niej wchodziła Armia Czerwona. Ta jednak się zatrzymała, a powstańcy wytrzymali nie jeden tydzień, ale dziesięć. Plan załamał się z przyczyn politycznych, o których ani rząd polski, ani Armia Krajowa nie wiedzieli. Na przykład o tym, że Stalin zabroni lądowania samolotom zachodnim w drodze do Japonii. Oni mieli prawo oczekiwać pomocy Zachodu.

Nie mogli wiedzieć, że Stalin trzyma wszystkich w szachu…

Nawet rosyjscy marszałkowie nie wiedzieli, że Armia Czerwona nie wejdzie do Warszawy. To było dla nich niespodzianką. Kiedy Rokossowski otrzymał od Stalina rozkaz zatrzymania, nie miał wyboru. Te wszystkie nieszczęścia mają źródła polityczne. To nie obojętność Armii Krajowej na losy cywilów.

Dlaczego Niemcy zdecydowali się bronić tu, w Warszawie? Wiedzieli, że są w beznadziejnej sytuacji. Von dem Bach przestał wykonywać rozkaz Himmlera rozstrzeliwania każdej osoby, ponieważ gdyby to robił, szybko zabrakłoby mu amunicji, jak mówił…

Wisła była ostatnią naturalną linią obrony na wschód od Niemiec. Od niej do Berlina jest przecież tylko 500 kilometrów. Problem Niemców tkwił w konflikcie

między SS a Wehrmachtem, który nie chciał dać im swoich jednostek z frontu do walki z Powstaniem. Dowództwo Wehrmachtu uważało, że to jest problem wyłącznie Himmlera. Skoro bowiem sam to przygotował, powinien również rozwiązać sprawę samodzielnie. SS jednak było za słabe i ostatecznie wprowadzono dywizje pancerne. Dowództwo Wehrmachtu było temu bardzo niechętne. W tym okresie miało już wystarczająco dużo własnych kłopotów.

Opracowanie Zbiorowe (1 sierpnia 1957) Powstanie Warszawskie w Ilustracji, Warszawa: Wydanie Specjalne Warszawskiego Tygodnika Ilustrowanego "Stolica", ss. 85

Czy z militarnego punktu widzenia Powstanie Warszawskie miało wpływ na przebieg wojny, czy też było wydarzeniem peryferyjnym?

Powstanie na pewno nie pozostało bez znaczenia dla tego, jak potoczyła się wojna. Prawdopodobnie, choć nie jest to pewne, było przyczyną zatrzymania wojsk radzieckich nad Wisłą co najmniej przez pięć miesięcy - aż do stycznia 1945 roku. Wiemy, że marszałkowie Armii Czerwonej zaproponowali Stalinowi ofensywę na Berlin już w sierpniu roku 1944. Zajęcie Warszawy otwierało drogę na Berlin. Wiemy, że Stalin tego planu nie przyjął. Nie wiemy, dlaczego tak się stało. Wydaje się jednak niemożliwe, żeby ta kluczowa decyzja Stalina pozostała bez związku z Powstaniem. Armia Czerwona została wysłana na Bałkany, do Rumunii, a cały centralny front białoruski na linii Moskwa-Berlin był zatrzymany przez całe pięć miesięcy. To nie mogło być obojętne dla historii wojny.

Czy w takim razie poza Polską wspomina się o Powstaniu jako o ważnym momencie wojny? Czym ono jest za granicą?

Informacje o wschodnim froncie przeszły przez filtr sowiecki. Wszystko, co korespondenci wojenni pisali w sierpniu, musiało przejść przez cenzurę. Po drugiej stronie Wisły był wtedy korespondent brytyjski. Jednak i to, co on pisał, przechodziło przez cenzurę sowiecką i do Londynu przychodziło z Moskwy. Oczywiście, polski rząd w Londynie miał swoje służby informacyjne. Jednak ciężko było im przeforsować swoje wiadomości przeciwstawne informacjom pochodzącym ze źródeł sowieckich. Dla Sowietów żołnierze Armii Krajowej byli bandytami, choć wchodzili w skład sił alianckich. Proszę sobie wyobrazić, co oznaczałoby oskarżenie jednego sojusznika o to, że zabija drugiego sojusznika. Informacja, że NKWD, na tyłach Armii Czerwonej, chciała zabić i aresztować żołnierzy Armii Krajowej, była tam niewiarygodna.

Planowano brytyjską misję wojskową do podziemia polskiego. Mikołajczyk poprosił o nią w lutym. Dyskutowano o niej cały rok. Chodziło o to, żeby Brytyjczycy mogli dowiedzieli się, jak jest naprawdę. Od lutego do grudnia misja miała wyruszyć, ale nie dochodziła do skutku - nie otrzymano samolotów... Misja lądowała dopiero w grudniu, drugiego dnia Świąt, kiedy Warszawa była już zniszczona. Tak wyglądała walka o informacje. Polacy nie mogli przebić muru propagandy sowieckiej. ZSRS był potęgą. Ostatecznie przecież to nie mocarstwa zachodnie, a Sowieci okazali się największymi zwycięzcami w tej wojnie. W 1944 r.

Armia Czerwona tu nad Wisłą była parę kroków od granicy niemieckiej. Mogliby w każdej chwili wkroczyć do Niemiec. Wojska zachodnie, walczące w Normandii, były od Niemiec kilka tysięcy kilometrów. Nie było równowagi pomiędzy Zachodem i Wschodem. I nie chodzi tylko o wojska. Sowieci wygrywali walkę o elementarne informacje. Tak też było z informacjami o Powstaniu. Sowieci zarzucali Polakom, że nie współpracowali z Armią Czerwoną. A czy Armia Czerwona próbowała współpracować z Polakami? Nie. Powstańcy chcieli rozmawiać z Rokossowskim o współpracy. Wysyłano w eter zapytania: "Gdzie jesteście? Jak można pomóc?", jednak Rokossowski w ogóle nie odpowiadał.

Absurd całej tej sytuacji dobrze oddaje historia kabla telefonicznego przechodzącego pod Wisłą na Pragę. Powstańcy widzieli, że Niemcy cofając się zniszczyli stację telefoniczną, ale kabel pozostał, gdyż nie mogli go przeciąć. Aby powiedzeć Sowietom, gdzie ten kabel się znajduje, aby można było podłączyć telefon polowy i rozmawiać normalnie, powstańcy musieli porozumieć się z rządem polskim w Londynie, a ten z rządem brytyjskim, gdyż sam nie utrzymywał stosunków z ambasadą sowiecką. Brytyjczycy musieli tę wiadomość przekazać ambasadzie sowieckiej, a ta musiała skontaktować się z Moskwą i stąd informacja została przesłana do Rokossowskiego. A jednak w historii zapisało się, że to Polacy nie chcieli współpracować z Armią Czerwoną, choć było odwrotnie.

No tak, ale ostatecznie powstanie było w pewnym sensie wymierzone również w Rosjan. Polacy nie chcieli przyjmować Rosjan jako swoich wybawicieli z rąk niemieckich.

Polacy myśleli podobnie jak Francuzi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że francuski ruch oporu jest za słaby, żeby samodzielnie mógł wyzwolić Paryż. Wiedzieli, że będzie im potrzebna pomoc Amerykanów. Ale Ameryka nie chciała opanować Francji. W Paryżu wybuchło powstanie. Amerykanie posłali tam kilka dywizji Francuzów z wojsk amerykańskich i wyzwolili miasto. Czy to było trudne?

Bogdan Hillebrandt, Młodzież Warszawy w walce z hitlerowskim okupantem, Wiedza Powszechna, Warszawa 1970

Nie, a jednak to inna sytuacja. Amerykanie udzielili Francji pomocy jako jej sojusznicy. Rosjanie natomiast mieli zgoła inne dążenia niż warszawscy powstańcy.

Ciekawe jest jednak to, że mało kto na Zachodzie myślał, że Polacy mają takie samo prawo jak Francuzi. Brytyjczycy czy Amerykanie nie rozmawiali o tym z Sowietami. Było przyjęte, że strefa wschodnia jest w rękach Sowietów i nie wolno tego ruszać.

Więc już z góry Polacy byli inaczej traktowani?

Tak, i do końca o tym nie wiedzieli, i do końca mieli nadzieję. Czuli się równoprawnymi sojusznikami w tej koalicji.

Jak więc sens Powstania jest rozumiany na Zachodzie?

Myślę, że informacja o nim jest bardzo skromna. Przez pięćdziesiąt lat prawie o nim nie mówiono. Dopiero sześćdziesiąta

rocznica miała wielki oddźwięk - pięćdziesiąta nie. Przepływ informacji był uzależniony od polityki sowieckiej. Więcej mówiło się o Powstaniu zaraz po wojnie. Wydano wtedy sporo książek, jeszcze wielu Polaków było w Londynie. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych mieliśmy do czynienia z zalewem informacji o Holokauście. Większość ludzi, którzy wiedzieli, że było powstanie w Warszawie, myślała, że to było powstanie w getcie. Nie wiedzieli, że powstania były dwa. Zlewały się w jedno - do tego stopnia, że około dziesięciu lat temu pewien kanał amerykański prezentował miniserial *Powstanie w Getcie*, w której użyto obrazów i filmów z powstania z roku 1944.

Z czego to wynikało?

Jeszcze tego nie zbadałem, choć sprawa jest skandaliczna. Przecież taki serial miał konsultantów historycznych. To się już nie powtarza. Po sześćdziesiątej rocznicy dla wielu ludzi w Ameryce wiadomość o Powstaniu w Polsce w 1944 roku była rewelacją. Przypuszczam, że człowiek wychowany w latach siedemdziesiątych-osiemdziesiątych o Powstaniu nie słyszał - ale jego ojciec czy dziadek zaraz po wojnie prawdopodobnie tak.

Prof. **Norman Davies** - angielski historyk, wykładał w School of Slavonic and East European Studies Uniwersytetu w Londynie, a także na uczelniach w Stanach Zjednoczonych, Japonii, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Warszawskiego, znany ze swego szczególnego zainteresowania historią Polski i ceniony za wkład w jej popularyzację poza granicami kraju, autor m. in. książek *Europa, Wyspy, Boże igrzysko, Powstanie '44*.

K. G.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Pierwsza audycja radiostacji Armii Krajowej „Błyskawica”

Foto: Zuska; Wikimedia Commons; Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0.

Od momentu wybuchu Powstania intensywnie pracowano nad uruchomieniem radiostacji. Montaż zgromadzonych części nadajnika zakończono ostatecznie 8 sierpnia i jeszcze tego dnia program zapowiedziano słowami: "Tu radiostacja AK - Błyskawica na fali 32,8 metra". Wieczorem nadeszło potwierdzenie z Londynu, że audycja jest słyszalna. Radiostacja rozpoczęła codzienne nadawanie na falach krótkich o godz. 9.45, 14.00, 19.30, 22.00 w języku polskim, także audycje w języku angielskim na falach krótkich i po niemiecku na średnich. Szefem programu "Błyskawicy" był Stanisław Zadrożny "Pawlicz", spikerem zaś Zbigniew Świętochowski "Krzysztof". Oprawą muzyczną zajmował się znany dyrygent Olgierd Straszyński. Nasłuchem kierowała Halina Martin "Dorota". Szefem technicznym radia był Jan Georgicy "Grzegorzewicz", który również kierował "Błyskawicą".

Na program "Błyskawicy" składały się wiadomości, reportaże sprawozdawców prasowych, komunikaty dowódcy Powstania, wiersze i pieśni wojskowe. "Błyskawicę" wykorzystywało również Polskie Radio, którym kierował Edmund Rudnicki. Program PR pojawiał się na falach średnich o godz. 12, na krótkich o 10.55 i 18.30, a audycje specjalne o 14.30. Oprócz

tego puszczane były codziennie audycje w języku angielskim o 10.15 i 22.30 (na falach krótkich). Początkowo radiostacja mieściła się w gmachu PKO na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej. W studiu nadawczym oprócz aparatury były tylko krzesła, stolik i biurko. Mikrofon dyżurnego spikera stał na stoliku, a urządzenie techniczne i kontrolne mieściło się obok na biurku. W innej części pomieszczenia zamontowany był odtwarzacz muzyczny, na którym grano *Warszawiankę*, otwierającą i kończąca każdą audycję. Urządzono także specjalną kwaterę radiową w budynku włoskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego przy Miodowej 10.

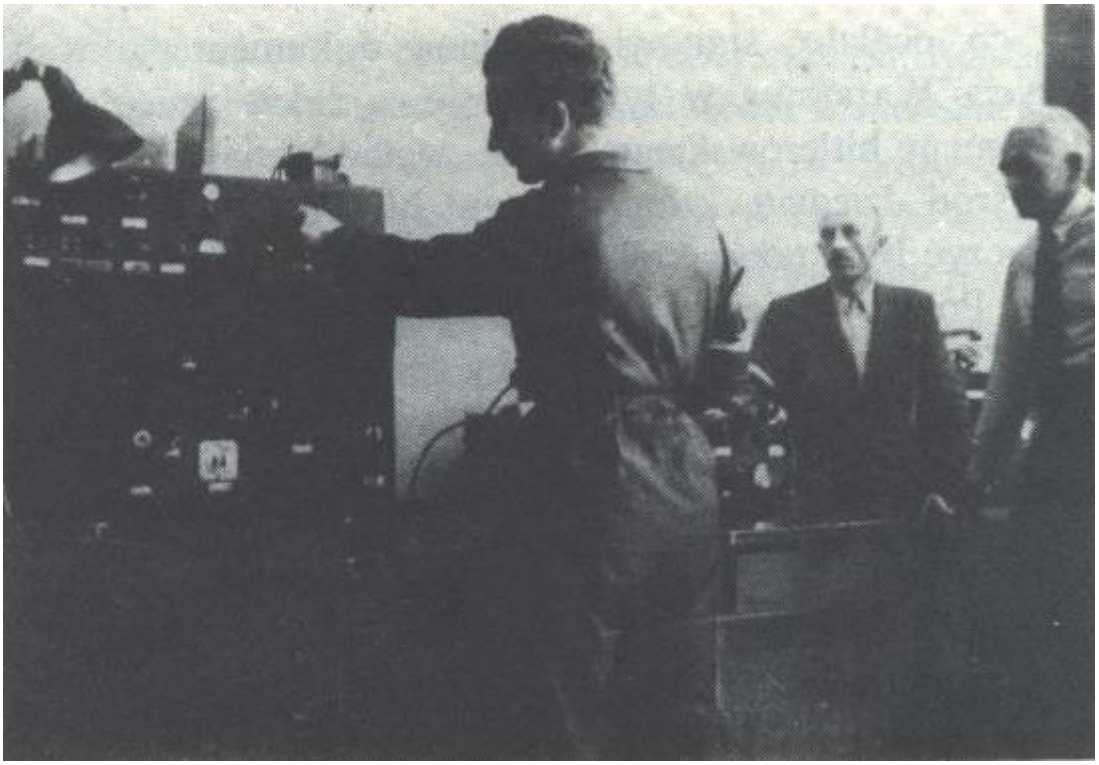

Stanisław Salmonowicz, Polskie Państwo Podziemne, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa, 1994

Przez cały czas trwania Powstania radiostacja była przemieszczana. Z gmachu PKO przeniesiono ją do budynku "Adrii" przy Moniuszki 10, następnie do budynku dawnej ambasady Związku Radzieckiego pna ul. Poznańską 15, wreszcie do budynku Biblioteki Publicznej na ul. Koszykową 26.

Dwa dni po złożeniu przez powstańców kapitulacji, 4 października o godz. 19.20 *Błyskawica* nadała ostatni 10 minutowy program, w którym szef stacji Jan Georgicy "Grzegorzewicz" złożył meldunek o pracy powstańczej radiostacji. Opowiedział o warunkach pracy programowej i technicznej, następnie po pożegnaniu się ze słuchaczami zniszczył nadajnik. Radiostacja odegrała bardzo ważną rolę w okresie walk powstańczych. Nie tylko zagrzewała powstańców do walki i przekazywała im słowa nadziei na zwycięstwo, ale również była ważnym informatorem dla zachodniej opinii publicznej, do której apelowała o pomoc.

WL

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Pierwszy rozbiór Polski

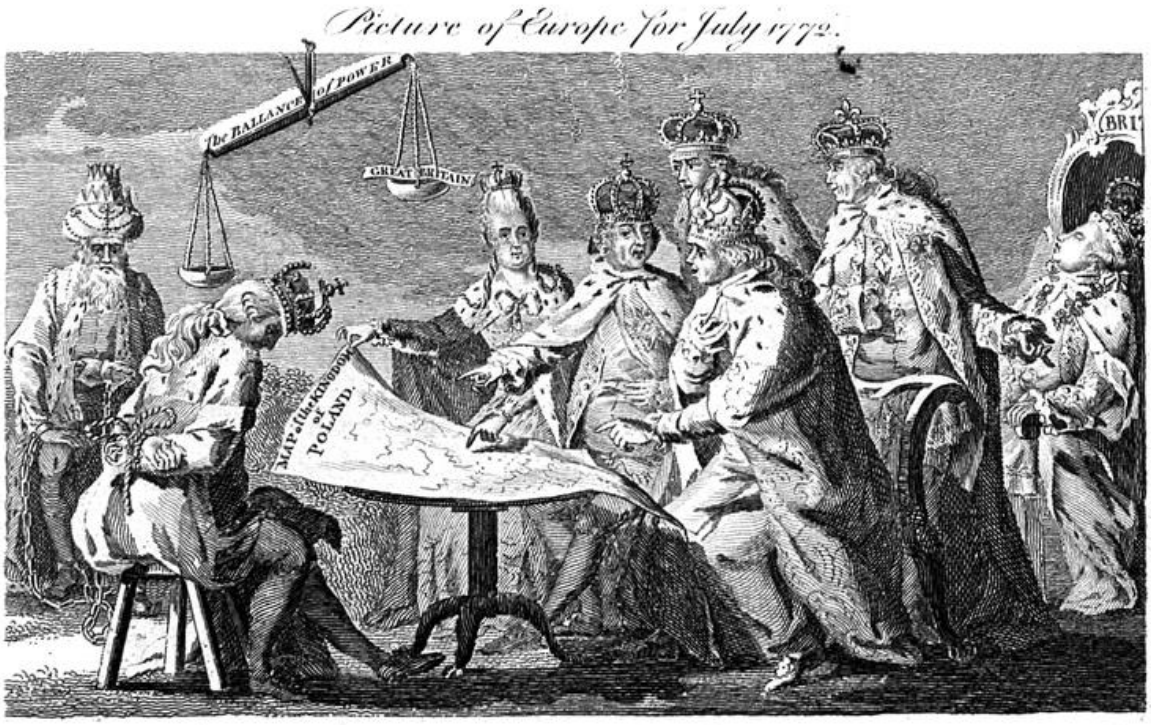

Po wojnie siedmioletniej terytorium Rzeczypospolitej stanowiło łakomy kąsek dla trzech sąsiadujących z nią wielkich mocarstw, które kosztem Polski chciały regulować swoje wzajemne stosunki. Austria starała się rozbić tzw. system północny, opierający się na sojuszu Prus i Rosji, poprzez przekupienie tych pierwszych terenami Prus Królewskich w zamian za zwrot Śląska. Mimo że Prusy nie okazały się tą propozycją zainteresowane, podobne pomysły miały się już niedługo urzeczywistnić, tym bardziej że w wyniku wojny rosyjsko-tureckiej cała Europa zaczęła poważnie obawiać się o dotychczasowy stan równowagi. Bezpośrednim wynikiem tego ostatniego był pruski plan uregulowania wschodniego sporu między Rosją a Austrią (uważającą Turcję za swoją strefę wpływów) kosztem Polski - zamiast terenów tureckich Rosja miała zaspokoić się u swoich zachodnich granic, a żeby było sprawiedliwie, również inni mieli skorzystać w ten sam sposób. Rosja w końcu została przekonana (tym bardziej że trzeba było jakoś ukarać Polaków za konfederację barską), lecz nadal chciała utrzymywać kuratelę nad okrojoną Rzecząpospolitą. Austria i Prusy nie dbały o to zbytnio, usiłując jedynie zdobyć dla siebie jak najwięcej i jak najkorzystniej.

Ostatecznie na podstawie układów z 5 sierpnia 1772 r. Prusy otrzymały 36 tys. km² (580 tys. mieszkańców), Austria - 83 tys. km² (2 650 tys. mieszkańców), Rosja - 92 tys. km² (1 300 tys. mieszkańców). Pruski udział był najbardziej rozwinięty gospodarczo, a do tego przyczynił się do ziszczenia odwiecznych marzeń Hohenzollernów o połączeniu Brandenburgii (z Berlinem) z dawnymi Prusami Książęcymi (z Królewcem). Austria otrzymała za to Lwów wraz z cennymi kopalniami soli, a Rosja teren stosunkowo najbardziej zacofany, choć i największy. Ten układ wywołał sprzeciw w Warszawie, tak ze strony posłów, jak i króla, który jednak nie protestował głośno, choć starał się usilnie o interwencję zachodnioeuropejską. Opór polski wzmógł jedynie groźby zaborców, że zwiększą swoje nabytki, dlatego też 30 września 1773 r. traktaty rozbiorowe zostały ratyfikowane. Bezpośrednim rezultatem tych wydarzeń była ratyfikacja układów handlowych z 1775 r., m.in. z Prusami, które oddawały w ich ręce prawie absolutną kontrolę nad gospodarką królestwa Stanisława Augusta.

M. G.-K.

Z prof. **Zofią Zielińską**
rozmawia Wojciech Kozłowski

***Czy aneksja części terytorium jakiegoś państwa w wyniku wzajemnego porozumienia krajów sąsiednich, jak to się stało z Rzecząpospolitą, była wydarzeniem bezprecedensowym i czy należy uznać ją za polityczne* novum?**

Trzeba wziąć pod uwagę, że chodziło o aneksję tak dużego państwa, jakim była Rzeczpospolita - kraj, którego byt w Europie był od wieków utrwalony. Skoro mówimy o aneksji, choć niekoniecznie wynikłej z porozumienia innych państw, to dobrym przykładem jest polityka reunionów, realizowana przez Ludwika XIV na początku lat osiemdziesiątych XVII wieku. Pod pretekstem rzekomych dawnych praw Francja zagarnęła wówczas różne części graniczących z nią państw Rzeszy. Ale to jest nieporównywalne z rozbiorem z 1772 roku i to, co dokonało się w Polsce, należy uznać za unikat. W 2001 roku ukazała się książka brytyjskiego badacza Hamisha Scotta *Powstanie mocarstw wschodnich* (*The Emergence of the Eastern Powers, 1756-1775*), przy czym mocarstwa wschodnie to dla Anglika Prusy, Austria i Rosja. Przypomniał on, że rozbiory Polski były unikatowe nie tylko ze względu na rangę rozbieranego państwa, ale i dlatego, że bez konfliktu z tym państwem i w gruncie rzeczy bez specjalnego troszczenia się o prawne uzasadnienie pretensji zagrabiono mu trzecią część terytorium. Mocarstwa ościenne wykorzystały słabość militarną państwa polskiego i dokonały precedensu, stanowiącego dla reszty Europy groźne memento, że spory między mocarstwami można rozwiązywać kosztem państwa neutralnego. Wywołało to nastroje paniki m.in. w mniejszych państwach niemieckich.

Czym można wytłumaczyć zgodną współpracę trzech na co dzień rywalizujących ze sobą potęg - Prus, Austrii i Rosji - w dziele demontowania Rzeczypospolitej?

Motywy były różne w wypadku każdego z tych państw. Rosyjska historiografia forsowała - i wciąż forsuje - dwie tezy równie nieprawdziwe. Pierwsza z nich brzmi, że Rosja nie chciała, ale musiała przystąpić do rozbiorów, zmuszona jakoby przez Prusy i Austrię; druga - że Rosja nie wzięła ziem cudzych, a tylko odebrała to, co do niej wcześniej należało. Prusacy specjalnie się nie wypierali swych czynów, Austriacy mogli co najwyżej rozważać, czy rozbiory im się opłaciły.

Rosja była hegemonem Polski. Od schyłku wielkiej wojny północnej sprawowała nad nią *de facto* protektorat. Długo zatem nie była zainteresowana dzieleniem się Rzecząpospolitą z innymi państwami. Należy postawić pytanie, co takiego się stało, że Rosja przystała na rozbiór. Imperium to wyszło z wojny siedmioletniej jako mocarstwo niezwykle wzmocnione w stosunku do wyczerpanych Prus i Austrii. Nic w Europie Środkowej nie mogło się dziać bez zgody Petersburga. Rozpowszechnioną teorię, że Rosja nie chciała, ale musiała wziąć udział w rozbiorach, można zatem włożyć między bajki.

W wojnie z Turcją, jaka toczyła się od 1768 roku, Rosja z myślą o przyszłym pokoju zgłosiła tak wielkie roszczenia terytorialne do ziem na Bałkanach, że gwałtownie wystąpiła przeciw temu Austria. Jej niezadowolenie było na rękę Prusom, bo kłopoty Rosji - obok wojny tureckiej, konfederacja barska w Polsce - bardzo chciały one wykorzystać dla swych celów, czyli dobić się zgody na rozbiór Polski. Chęć zażegnania konfliktu z Austrią i Prusami była niewątpliwie najważniejszą przyczyną zgody Rosji na rozbiór, proponowany przez Prusy. Drugą były dążenia aneksyjne w kręgach rosyjskiej elity; części z tych ludzi - koteria Czernyszewów, z których Zachar był szefem Kolegium Wojskowego - nie satysfakcjonował już protektorat nad Rzecząpospolitą, marzyła im się aneksja jej części. Aneksja, a nie rozbiór, czyli dzielenie się Polską z Prusami i Austrią, nie okazała się jednak realna. Katarzyna II obawiała się, że taki krok - a ideę Czernyszewa zaaprobowała już w roku 1763 - zantagonizuje Rosję z obu mocarstwami niemieckimi. Gdy w latach 1770-1771 na tle sporu o Bałkany do tego antagonizmu doszło, apetyty aneksyjne rosyjskiej elity dodane do intencji Katarzyny, by dobrze ułożyć sobie stosunki z najbliższymi mocarstwami, przeważyły szalę na rzecz rozwiązania rozbiorowego, od dawna sugerowanego przez Prusy. Dodajmy, że obłowienie się na zdobytych terytoriach przez Czernyszewów tylko powiększyło grono chętnych do dalszych aneksji - dążenia te uosabiał od 1776 roku Potiomkin - wbrew Katarzynie, która wolałaby nie dzielić się pozostałą częścią Rzeczypospolitej z Prusami i Austrią. Jak się okazało - wolała do czasu.

Prusy inicjowały pomysły rozbiorowe od bardzo dawna. Za Wielkiego Elektora w drugiej połowie XVII wieku uzyskały duży potencjał wewnętrzny. Jak powiedział cytowany już Scott - wielki sympatyk Fryderyka II: jeśli chciały być mocarstwem, musiały uzyskać spory przyrost terytorium. Mocarstwem stały się w latach 1740-1745, kiedy wydarły Austrii Śląsk. Polska, ze względu na swą słabość ujawnioną już podczas wielkiej wojny północnej, była w XVIII wieku stałym

obiektem westchnień rozbiorowych Prus. Nic by z tego jednak nie wyszło bez zgody Rosji, która wielokrotnie dawała Berlinowi do zrozumienia, iż Rzeczpospolitą uważa za teren własnych wyłącznych wpływów i nie zamierza dzielić się nim z Prusami. Hohenzollernowie się z tym liczyli, dlatego rozbiór stał się możliwy dopiero wówczas, gdy zainteresowana nim stała się także Rosja, gdy podjęła decyzję o rozbiorze.

Dla Austrii zasadniczą datą jest rok 1740 - napad Prus na Śląsk. Austria nawet bez Śląska pozostała mocarstwem, lecz jego strata dała początek śmiertelnej rywalizacji z Prusami o przewagę w Rzeszy. Osłabiony Wiedeń teoretycznie powinien być zainteresowany wzmocnieniem Polski - potencjalnego sojusznika przeciw Prusom. *Realpolitik* dyktowała jednak patrzenie nie na Polskę, a na Rosję jako na mocarstwo, które może skutecznie wspomóc Habsburgów w odzyskaniu Śląska.

W okresie polskiego bezkrólewia po Auguście III Austriacy - obawiając się rozbioru Polski, a o takie dążenia podejrzewali Prusy i Rosję - wprost występowali przeciw temu. Z 1763 roku pochodzą rozważania kanclerza Kaunitza, który twierdził, że gdyby nawet Austrii zaproponowano współudział w zaplanowanym przez Petersburg i Berlin rozbiorze, powinna odmówić, dlatego że nigdy nie przyłączy gruntownie polskich ziem leżących za Karpatami, natomiast Prusy, integrując swoje terytorium przez zabór Pomorza Gdańskiego, wzmocnią się ogromnie i staną się tym groźniejszym wrogiem Wiednia. Gdy jednak w 1771 r. Wiedeń został zaproszony do rozbiorowej spółki, przeważyły inne rachuby. A zaproszony został dlatego, że w Petersburgu i Berlinie rozumiano, iż dzięki współudziałowi w rozbiorze trzech mocarstw utrwali się stworzony przez rozbiór układ, podczas gdy pozostawienie Austrii poza nim groziłoby z jej strony działaniami destabilizacyjnymi. Wiedeń podejmował decyzję przez cały rok, zakładając - słusznie - że bez niego Rosja i Prusy i tak rozbioru by dokonały, a państwo Fryderyka II stałoby się relatywnie jeszcze silniejsze. Decydując się na udział w rozbiorze Austria częściowo pomniejszała tę różnicę, równocześnie jednak utrwalała układ, tak dla Prus korzystny. I dobrze zdawała sobie sprawę, że bierze udział w wielkim bezprawiu - słynne łzy Marii Teresy.

Czy można w jakiś sposób wyjaśnić, dlaczego państwa ościenne potrzebowały aż trzech kroków do całkowitego demontażu Polski?

W 1772 roku Rosjanie nie mogli być całkowicie pewni, jak zareagują pozostałe mocarstwa: Anglia i Francja, nie chcieli też Prusakom i Austriakom za dużo dawać z Polski, którą uważali za swoją strefę wpływów. Z punktu widzenia Katarzyny II wydawało się, że rozbiór spełnił zadania: pozwolił zlikwidować konflikt międzynarodowy, ukarać Polskę za konfederację barską i wcześniejsze reformatorskie próby Stanisława Augusta, a równocześnie porozbiorową Rzeczpospolitą przywrócił pod pełny i wyłączny rosyjski wpływ. Z punktu widzenia imperatorowej nie było więc sensu podziału rozszerzać. Inaczej myśleli ci członkowie rosyjskiej elity, którzy nie zdążyli się obłowić, tak jak Czernyszewowie. Opcja aneksyjna po pierwszym precedensie zyskała w rosyjskich kręgach rządzących na sile i stała się bardzo silnym elementem presji na II rozbiór, w 1793, który stanowił karę za reformy Sejmu Czteroletniego, przede wszystkim za Konstytucję 3 maja.

Można zapytać, dlaczego drugi rozbiór nie dokończył dzieła zniszczenia. Tego dokładnie nie wiemy, ponieważ ciągle nie mamy dostępu do tych rosyjskich materiałów, które ukazują, jak zapadały decyzje rozbiorowe.

Można się domyślać, że ponieważ Austria nie brała udziału w drugim rozbiorze, Rosja znowu - tak jak przy pierwszym - była skłonna nie kończyć dzieła, bo miało je na długo utrwalać zbliżenie trzech państw rozbiorczych. I rzeczywiście sojusz trzech cesarzy przetrwał do lat siedemdziesiątych XIX wieku. Poza tym toczyła się wojna z rewolucyjną Francją; Rosja chciała występować w charakterze państwa przywracającego stary porządek i niszczącego jakobinizm, a nie agresora; przypomnijmy, że wojna z Polską w 1792 roku toczyła się w imię ochrony rzekomego konstytucyjnego ładu i przeciw bezprawiu, jaki miała jakoby stanowić Ustawa Rządowa 3 maja. Może dlatego nie wypadało rozbioru przeprowadzić do końca, a jedynie Polskę ukarać.

Prof. **Zofia Zielińska** - historyk, pracownik Instytutu Historii UW; zajmuje się historią Polski XVIII wieku.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

I Kompania Kadrowa

6 sierpnia 1914 r. I Kompania Kadrowa wyruszyła z krakowskich Oleandrów w kierunku Królestwa Polskiego. W przemówieniu wygłoszonym kilka dni wcześniej do jej żołnierzy Józef Piłsudski mówił: "Odtąd nie ma ani Strzelców, ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi.(...) Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały".

Zgodę na mobilizację oddziałów strzeleckich Józef Piłsudski otrzymał od wojskowych władz austriackich 2 sierpnia 1914 r. Wówczas także poinformowano go, iż po wybuchu wojny rosyjsko-austriackiej polskie formacje mają działać na kierunku Miechów - Jędrzejów - Kielce. Decyzja ta zmieniała wcześniejsze plany, które przewidywały wkroczenie polskich oddziałów do Zagłębia Dąbrowskiego.

3 sierpnia 1914 r. w krakowskich Oleandrach zorganizowana została I Kompania Kadrowa. Liczący 144 żołnierzy oddział składał się ze słuchaczy szkół oficerskich Strzelca i Polskich Drużyn Strzeleckich - organizacji mających wykształcić kadry przyszłego Wojska Polskiego.

W przemówieniu wygłoszonym do I Kompanii w dniu jej sformowania Piłsudski mówił: "Odtąd nie ma ani Strzelców, ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały.(...) Żołnierze!... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi

pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanię".

Wacław Lipiński, Eugeniusz Quirini: Album Legjonów Polskich. Wydawca: Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1933; s. 44.

6 sierpnia 1914 r., na krótko przed świtem, I Kompania Kadrowa wyruszyła z krakowskich Oleandrów w kierunku granicy Królestwa Polskiego. Na jej czele stał wyznaczony przez Piłsudskiego por. Tadeusz Kasprzycki - oficer Związku Strzeleckiego.

W dniu wymarszu I Kompanii Piłsudski w trakcie posiedzenia Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych w Krakowie oświadczył, że w Warszawie powstał tajny Rząd Narodowy, który mianował go komendantem polskich sił zbrojnych.

W rozpowszechnianej odezwie podpisanej przez "Komendanta Głównego Wojska Polskiego Józefa Piłsudskiego" stwierdzano m.in.: "Kadry armii polskiej wkroczyły na ziemię Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej właściwego, istotnego jedynego gospodarza - Ludu Polskiego, który ją swą krwawicą użyźnił i wzbogacił. Zajmują ją w imieniu Władzy Naczelnej Rządu Narodowego. Niesiemy całemu narodowi rozkucie kajdan, poszczególnym zaś jego warstwom warunki moralnego rozwoju. Z dniem dzisiejszym cały Naród skupić się winien w jednym obozie pod kierownictwem Rządu Narodowego. Poza tym obozem zostaną tylko zdrajcy, dla których potrafimy być bezwzględni".

W rzeczywistości żaden "Rząd Narodowy" w Warszawie wówczas nie powstał, a cała akcja była mistyfikacją mającą zwiększyć szansę powodzenia podjętych przez Piłsudskiego działań. Oceniając je prof. Janusz Pajewski w książce "Odbudowa państwa polskiego" stwierdzał: "Plan Piłsudskiego był tyle samo prosty, ile nierealny. Chciał być, wedle własnych słów, +swobodnym ptakiem+ tzn. uniezależnić się zarówno od polskich stronnictw politycznych, jak i od Austrii. Piłsudski, głęboko rozmiłowany w tradycjach 1863 r., przeniknięty kultem powstańców styczniowych, kultem tajnego, ściśle zakonspirowanego, a otoczonego wielkim autorytetem Rządu Narodowego i jego pieczątki, powziął myśl powtórzenia, może w pomyślniejszych okolicznościach, sytuacji z powstania styczniowego".

"Wejście oddziałów strzeleckich do Królestwa - pisał dalej prof. Pajewski - miało w przekonaniu Piłsudskiego wznowić 1863 i 1905 r. Strzelcy wraz z królewiackimi powstańcami opanowaliby część Królestwa, gdzie można by organizować wojsko i przygotowywać kadry władz politycznych. Niewielka nawet część Kongresówki, pozostając pod władzą Piłsudskiego, musiałaby mu dać silną pozycję zarówno wobec społeczeństwa polskiego, jak też i wobec zaborców".

Tymczasem I Kompania idąc przez Miechów i Jędrzejów 12 sierpnia wkroczyła do Kielc. Żołnierze jej przyjmowani byli jednak przez mieszkańców Królestwa bardzo chłodno.

Roman Starzyński wspominając gorzkie odczucia strzelców pisał: "Na rynku (miasteczka Skała) tłum ciekawych obserwuje przemarsz +obcego+ wojska. +Nasi+ odeszli. Tych +obcych+ nikt nie wita, nikt nie pozdrawia. Ciekawy tłum - patrzy i milczy. Nikt nie wyniesie szklanki wody, nikt nie poda kromki chleba. To już nie Krakowskie, nie polska Galicja, to Rosja zaludniona szczepem mówiącym po polsku, ale czującym po rosyjsku. Od rana nie mieliśmy nic w ustach, kilkugodzinny marsz wyczerpał wszystkie nasze siły, ale wszystko to nic wobec uczucia, jakie w nas to wrogie milczenie mieszkańców Skały () wzbudziło. Pod wpływem takiego przyjęcia rodziły się w nas myśli, które później znalazły wyraz w hymnie Pierwszej Brygady". (R. Starzyński "Cztery lata w służbie Komendanta").

Według opinii prof. Tomasza Nałęcza: "już pierwsze godziny akcji przyniosły zapowiedź politycznej klęski. Królestwo nie uznało podkomendnych Piłsudskiego za +czołową kolumnę wojska polskiego idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny+ (J. Piłsudski "Pisma zbiorowe", t. V, Warszawa 1937, s.267). Do kadrowych kompanii nie napłynęli oczekiwani ochotnicy. Akcja strzelecka w konfrontacji z obojętnością ludności, a niekiedy wręcz z niczym niemaskowaną wrogością, załamała się. (...) Wkroczenie do Królestwa nie dostarczyło argumentów niezbędnych do dalszej gry politycznej z państwami centralnymi. Nie udało się stworzyć silnej armii. Co gorsza, liczący wcześniej na antyrosyjską dywersję, a teraz rozgoryczeni fiaskiem akcji strzeleckiej, Austriacy postawili Piłsudskiemu nader ciężkie warunki. Miał on bądź rozwiązać dowodzoną przez siebie formację, bądź wstąpić z nią w szeregi austriackiego pospolitego ruszenia. Pierwsze posunięcie równoznaczne było z przekreśleniem dotychczasowych przygotowań i w gruncie rzeczy oznaczało polityczne samobójstwo. Drugie, zmierzające do uczynienia z bojowników niepodległości austriackich najemników, również nie było możliwe do zaakceptowania". ("Z dziejów Drugiej Rzeczypospolitej" - praca zbiorowa pod red. naukową A. Garlickiego).

Pomoc nadeszła ze strony galicyjskich polityków, którzy uzyskali zgodę władz austriackich na powstanie dwóch Legionów Polskich. Miały być one ochotniczymi formacjami, walczącymi u boku armii austro-węgierskiej.

16 sierpnia 1914 r. w Krakowie utworzony został przez wszystkie galicyjskie ugrupowania polityczne Naczelny Komitet Narodowy, będący "najwyższą instancją w zakresie wojskowej, skarbowej i politycznej organizacji zbrojnych sił polskich". Pod jego patronatem zaczęto tworzyć Legiony Polskie. I Kompania Kadrowa stała się zalążkiem 1 pułku piechoty, który następnie rozrósł się do I Brygady Legionów Polskich. MJS

PAP- Nauka w Polsce

ls/bsz

Źródło: www.naukawpolsce.pap.pl

foto: Jurek281; Wikimedia Commons; Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0.

I Zlot Mitsubishi

Między 16 a 18 września bieżącego roku polska filia Mitsubishi Motors organizuje dla wszystkich właścicieli samochodów Mitsubishi w Polsce I Zlot Mitsubishi. Impreza, dogodnie zlokalizowana w centrum Polski, jest odpowiedzią na oczekiwania posiadaczy całej gamy aut tej marki i ma na celu integrację jej miłośników w duchu sportowej rywalizacji, z którego słynie Mitsubishi. Na uczestników czekają liczne atrakcje a wśród nich 3 niezwykle emocjonujące trasy z próbami sportowymi KJS i terenowymi odcinkami specjalnymi, testy Mitsubishi L200 Monster i Pajero Adventure na specjalnie przygotowanym torze przeszkód terenowych, zwiedzanie ciekawych miejsc z przewodnikami, imprezy przy grillu oraz gry i zabawy dla dzieci. Imprezę uświetni swą obecnością znana aktorka i ambasadorka marki Mitsubishi Motors Anna Cieślak.

Co, gdzie, kiedy

I Zlot Mitsubishi, zorganizowany dla właścicieli i miłośników japońskiej marki w centrum kraju, w malowniczej okolicy Zalewu Sulejowskiego, Spały i Tomaszowa Mazowieckiego, to impreza turystyczno-sportowa. Okrągła, dwudziesta rocznica działalności firmy w Polsce nadaje temu spotkaniu szczególne znaczenie. Celem spotkania jest integracja entuzjastów samochodów Mitsubishi, zapoznanie ich z aktualną ofertą marki, będącej liderem technologii napędów 4x4 i dobra zabawa, związana z szeroko pojętą turystyką samochodową. Zlot jest pierwszą okazją dla fanów marki, by wspólnie spędzić weekend i odkryć mniej znane, urokliwe tereny Polski. W programie nie zabraknie sportowej rywalizacji, z jakiej słynie marka spod znaku Trzech Diamentów. Każda z załóg będzie miała możliwość wyboru jednej z trzech tras, różniących się charakterem, nawierzchnią i zadaniami. Trasy prowadzą wśród lasów i licznych atrakcji turystycznych tego regionu a bazą zlotu jest pięknie położony hotel Magellan w Bronisławowie. Niepowtarzalną atrakcją będzie możliwość przetestowania wyjątkowych modeli

Mitsubishi – L200 Monster i Pajero Adventure na emocjonującym torze terenowym. Obfitujący w atrakcje program zlotu obejmuje także zwiedzanie atrakcji turystycznych z przewodnikami, spotkania przy grillu oraz profesjonalną opiekę i zabawy dla dzieci. Gościem specjalnym zlotu będzie popularna aktorka i ambasadorka marki Anna Cieślak.

3 znakomite trasy i emocje za kierownicą Mitsubishi L200 Monster oraz Pajero Adventure

Załogi wszystkich tras będą startować i kończyć rywalizację w Hotelu Magellan w Bronisławowie, nieopodal Zalewu Sulejowskiego. Punktem wspólnym dla nich wszystkich jest miasteczko 4x4 Mitsubishi, gdzie uczestnicy przesiądą się do specjalnie przygotowanych modeli Mitsubishi i pokonają terenowy tor przeszkód. 3 niezwykle ciekawe trasy opracowano z myślą o zainteresowaniach i oczekiwaniach posiadaczy wszystkich modeli Mitsubishi. Szlak turystyczny wytyczono na utwardzonej nawierzchni. Uczestnicy rywalizują tu dowolnym modelem Mitsubishi na zasadach rajdu turystycznego a załoga wykonuje zadania logiczne i sprawnościowe. W programie także zwiedzanie interesujących obiektów i wyszukiwanie fotopunktów. Trasa sportowa, możliwa do pokonania dowolnym modelem Mitsubishi, prowadzi po utwardzonej nawierzchnia a uczestnicy rywalizują na zasadach Sportowej Konkursowej Jazdy Samochodem (SKJS) z podziałem na klasy, według pojemności silnika i z pomiarem czasu. Trasa terenowo-turystyczna jest polecana wszystkim właścicielom SUV-ów (ASX, Outlander) 4WD i aut terenowych Mitsubishi takich, jak Pajero i L200. Prowadzi po twardych i luźnych nawierzchniach, takich jak szutry i piachy i oferuje uczestnikom sprawdzenie swych sił na próbach terenowych z pomiarem czasu lub jazdę na dokładność. Załogi rywalizują na zasadach rajdu turystycznego, odnajdują fotopunkty, zwiedzają zabytki i rozwiązują zadania.

Ruszyły zapisy

Aby zgłosić się do udziału w zlocie wystarczy wypełnić formularz na stronie www.zlotmitsubishi.pl. Bogaty pakiet startowy wraz z numerami, identyfikatorami i książkami startowymi, oferuje między innymi możliwość startu na jednej z trzech profesjonalnie przygotowanych tras, w tym KJS, możliwość przetestowania Mitsubishi L200 Monster i Mitsubishi Pajero Adventure na specjalnie przygotowanym terenowym torze przeszkód oraz uczestnictwa w licznych konkurencjach, zadaniach i zabawach z walką o cenne nagrody, gry i zabawy dla dzieci pod opieką wykwalifikowanych opiekunów, spotkania przy grillu, koszulkę zlotową i pamiątkowe gadżety oraz bilety wstępu do zwiedzanych obiektów z opieką przewodników.

Niepokonani.
Wojna Polaków 1939 - 1945

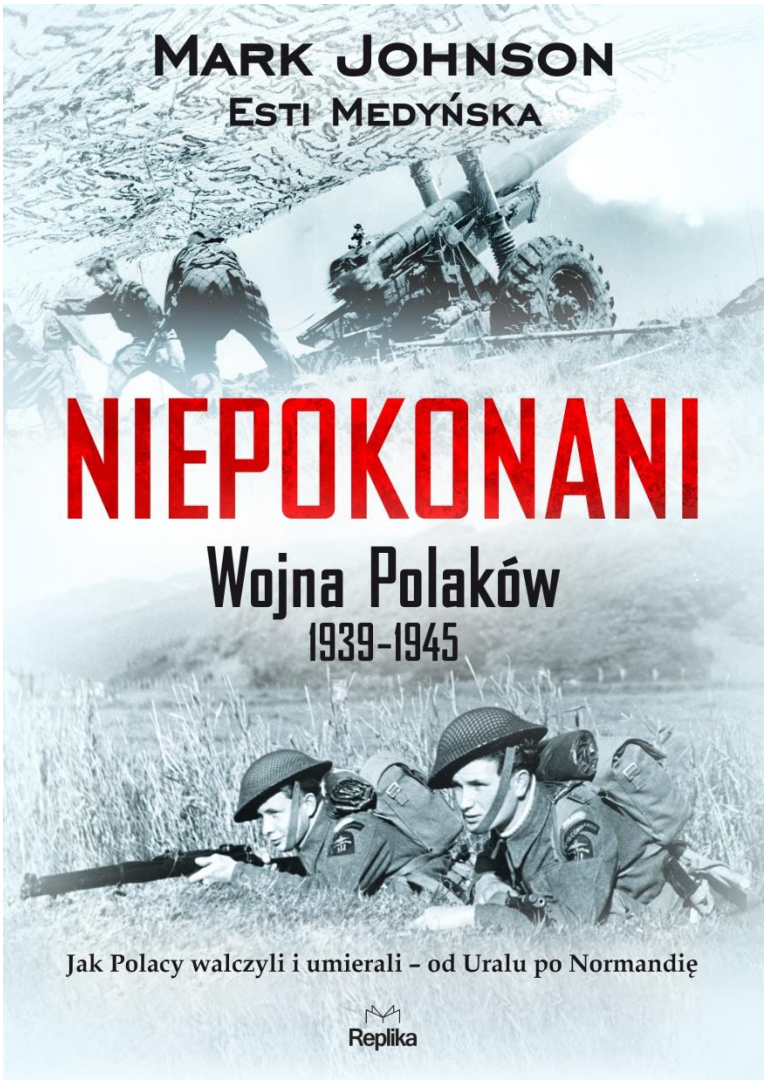

Jak Polacy walczyli i umierali — od Uralu po Normandię
Wojenne losy Polski i Polaków są powszechnie znane. Wrześniowa porażka, rozbiór kraju, niewolnicza tułaczka po terytoriach okupantów – niemieckiego i sowieckiego, a jednocześnie nieustanna walka z agresorami – praktycznie na wszystkich frontach i w konspiracji. Zwykle traktuje się te wszystkie batalie wyrywkowo. Rzadko i zwykle z trudem mówi się o nich razem, jednym tchem, a jeszcze rzadziej – w kontekście ludzkich losów; wydarzeń widzianych oczami zwykłego człowieka. Tym razem to się udało. Autorzy przystępnym językiem mówią o zawiłych dziejach Polaków podczas drugiej wojny światowej. Piszą o „Blitzkriegu" w 1939 roku, o zmaganiach tych, którzy, uciekając przed nazistami, zostali deportowani do sowieckich Gułagów; o ich podziemnej walce o przetrwanie. Przede wszystkim jednak bez nadmiaru szczegółów piszą o ludziach i ich pogmatwanych wojennych losach. O pilotach, żołnierzach i marynarzach, kobietach i dzieciach, którzy, nawet rozproszeni po świecie, łączyli siły w walce przeciwko narzuconej tyranii.

Efektem pracy Johnsona i Medyńskiej jest unikatowa, zwięzła, a zarazem bezstronna opowieść o odwadze i harcie ducha w trakcie wojny. Autorzy patrzą na Polaków „z zewnątrz", chłodnym okiem obserwatorów pozbawionych uwikłań politycznych i ideologicznych. Ich zdaniem wojenne dzieje naszych rodaków są tak niesamowite, że nie wolno pozwolić im zaginąć w odmętach niepamięci. Nie kryją przy tym swego szacunku i podziwu dla nich.

Swoją narrację wzbogacają niepublikowanymi dotąd wspomnieniami świadków oraz

fotografiami. Wykraczają w ten sposób daleko poza rozważania ogólne czy akademickie, nadając historycznym faktom treść i barwy, jakie towarzyszyły codziennemu życiu w tamtych trudnych czasach.

Mark Johnson urodził się w Londynie w 1959 roku. Jego ojciec pochodził z Jamajki. Matka o korzeniach holendersko-szkockich straciła większość rodziny w Holocauście. Na początku lat 70. Mark zaciągnął się do wojska. Służył na Jamajce, gdzie zwalczał handlarzy narkotyków i gangi na ulicach Kingston. Po odejściu z armii podjął współpracę z służbami celnymi.

Niepokonani to owoc jego pasji, którą jest historia militarna. To książka kierowana do szerokiego czytelnika. Opisując jeden z mniej rozumianych na Zachodzie epizodów współczesnej historii, starałem się przedstawić, jak działania wojenne – te, prowadzone na polach bitew, jak i poza nimi – wpłynęły na zwykłych ludzi, mężczyzn i kobiety. W głównej mierze skupiłem się na opisaniu prawdziwych ludzkich przeżyć i emocji ujętych na tle wydarzeń historycznych. Zaintrygowała mnie również niesamowita zawziętość okazana w obliczu porażki oraz okupacji, a także ekstremalnej wrogości w postaci represji i brutalności. Mark Johnson mieszka obecnie w Wielkiej Brytanii, ale większość czasu spędza podróżując i badając mało znane historie mniejszości etnicznych, mających olbrzymi wkład w zwycięstwa Aliantów podczas drugiej wojny światowej w Europie i Azji.

Esti Medyńska – urodzona w prima aprilis dziennikarka, tłumaczka i obserwatorka. Ślązaczko-Zaolzianka, która nie posługuje się ani jedną gwarą. Jej pasją są militaria i historia, stąd praca w angielskiej policji i pisanie książek o drugiej wojnie światowej. Podróżuje w każdej wolnej chwili, prowadząc wywiady z ocalałymi z tamtych wydarzeń.

FRAGMENT KSIĄŻKI:

Chłodna, bałtycka bryza przyniosła ze sobą chwilowe oberwanie chmury. Deszczówka zalała szary bruk, betonową ścieżkę oraz potężny pomnik Obrońców Wybrzeża na Westerplatte. Gdzieś w pobliżu wiatr mocuje się ze zwiedzającą kobietą, próbując wyrwać jej z rąk różowy parasol, podczas gdy jej mąż, stojący niecały metr dalej, stara się sfotografować monument.

Po przeciwnej stronie wąskiego pasa wody Martwej Wisły, oddzielającej Westerplatte od polskiego miasta Gdańsk, na tle pochmurnego nieba bezbarwne domy usadowiły się obok niskich magazynów. Dwa małe frachtowce oraz biały prom pasażerski, ozdobiony polskimi barwami narodowymi, stoją na kotwicy.

Pogięte ramiona portowych żurawi wykrzywiają się w oczekiwaniu, zastygłe metalowe palce gotowe na jeszcze gorszą pogodę. Jest październik 2013 roku, a ja stoję w miejscu, gdzie siedemdziesiąt cztery lata temu rozpoczęła się druga wojna światowa.

Zażarte zmagania o ten niczym niewyróżniający się skrawek ziemi zwiastowały nie tylko wybuch wrogości, ale również okrutny i bezpardonowy charakter nadchodzącej wojny. Wojny, która pod tym względem przewyższyła wszystkie wcześniejsze.

Ci, którzy nigdy nie nosili wojskowych mundurów bądź nie zostali zbombardowani w swoich domach czy świątyniach, nigdy tak naprawdę nie pojmą wojny. Wojna nie jest zestawem strzałek na mapie. Żadna bomba nie trafi a z absolutną precyzją, żadne uderzenie wojsk nie pozostaje „punktowe” – zawsze pojawiają się straty uboczne. Matkom, ojcom, braciom czy siostrom nieuchronnie przychodzi opłakiwać bliskich. Nieodmiennie poprzysięga się zemstę. Ziarno odwetu zostaje zasiane, a ci, którym przypadnie się odpłacić, już gromadzą się tuż za horyzontem.

Latem 1939 roku nad Europą rozpętała się burza. Czarne chmury zbierały się od wielu lat. Nadciągnęła fala mściwych działań, mających wyrównać szkody – rzeczywiste i urojone – oraz utratę twarzy, dla niektórych nie do przyjęcia.

Wraz z dojściem do władzy w 1933 roku partii nazistowskiej pod przewodem Führera, Adolfa Hitlera, w sercu kontynentu zaczęła rozlewać się plama mroku. Niemcy byli narodem, który stworzył niektóre z najznakomitszych przykładów europejskiej kultury: dzieła sztuki, literatury, muzyki. Kraj ten był ojczyzną ludzi mających wielki wkład we współczesną naukę i filozofię. Wytyczali drogę, promując nowoczesne wartości demokratyczne oraz wolnościowe. Przez całe wieki tolerowali, o ile nie aktywnie wspierali rasową i religijną różnorodność.

Obecnie Niemcy stały się krajem, którego kształt naznaczały kolumny ludzi w mundurach, wznoszących płonące pochodnie, gdzie dyskurs polityczny sprowadzono do przesyconych nienawiścią butnych wrzasków oraz obietnic krwawej zemsty. Fabryki produkujące niegdyś różnego rodzaju dobra konsumpcyjne obecnie wytwarzały czołgi, działa, samoloty i łodzie podwodne.

Dzieci, które uprzednio ćwiczyły śpiewanie swoich pieśni oraz tradycyjnych rymowanek, aktualnie wykuwały na pamięć nazistowskie marsze i donosiły urzędnikom o politycznej niepewności własnych rodziców.

Tymczasem w Polsce wielu ludzi pozostawało niepomnych nadciągającej nieuchronnie katastrofy. Czesława Gryzybowska w 1939 roku miała siedem lat. Była czwartym z pięciorga dzieci – miała dwie starsze siostry i brata, jak również jedną młodszą, dwuletnią siostrę. Zapamiętała ostatnie lato przed wybuchem wojny. Było słonecznie, a w powietrzu rozbrzmiewały trele skowronków. Jak mówiła, niebo było błękitne, upstrzone maleńkimi ptaszkami, latającymi bardzo wysoko. Na łąkach i polach rodzina zbierała kwiaty, wliczając w to znaczną ilość białego maku. Kiedy wybuchła wojna, Gryzybowska miała rozpocząć drugi rok nauki w szkole.

Niedaleko na wschodzie inne wielkie mocarstwo, Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich bądź ZSSR, szerzyło własne hasła, mówiące o równości i robotniczym raju, jednocześnie budując i przymusowo zaludniając największą sieć więzień i obozów pracy, o jakich dotąd słyszał świat. Ludzie, których polityczne poglądy reżim uznał za niepewne, byli bezwzględnie wysiedlani z obszarów przygranicznych i przenoszeni na tereny głęboko wewnątrz kraju. Tam niezliczone miliony nie przeżywały w ciężkich warunkach. Po prostu znikały. Setki tysięcy chłopów umierały z głodu z powodu braku pożywienia nawiedzającego tereny wiejskie.

W tym samym czasie rząd Stalina dalej inwestował swoje ograniczone zasoby w rozwój największej na świecie armii. Ta, stając w szyku skierowanym na zachód, łypała złowrogo na Niemców poprzez przeszkodę, jaką stanowiła Polska. Było jasne, że coś musi się wydarzyć.

Napięcie między od niedawna niepodległym państwem polskim a Niemcami rosło systematycznie od momentu, jak tylko rządy objęli naziści, którzy zlikwidowali wszystkie partie opozycyjne. Niemcy od dawna rościli sobie prawa do zachodnich i południowych części Polski, której granice zostały określone na nowo po ich porażce w pierwszej wojnie światowej.

Niemiecka prowincja Prusy Wschodnie, niegdyś połączona z resztą Rzeszy, została obecnie oddzielona od niej korytarzem ziemi oraz Wolnym Miastem Gdańsk. Takie rozwiązanie od początku wywołało rozgoryczenie strony niemieckiej. Kolejne incydenty graniczne doprowadziły już prawie do wybuchu konfliktu pod koniec sierpnia 1939 roku.

Nowoczesna i rozbudowana do gigantycznych rozmiarów armia niemiecka w całej swej potędze szykowała się na granicy, gotowa zaprezentować mniej licznym i gorzej uzbrojonym

siłom polskim nowy, szybki i mobilny sposób prowadzenia wojny. Żołnierze Wehrmachtu, piloci Luftwaffe oraz marynarze Kriegsmarine tylko czekali na rozkaz Hitlera, aby uderzyć.

Fragment rozdziału „Geneza”

Fakty i mity o dronach

W Polsce przeżywamy dronową rewolucję. Korzysta z nich coraz więcej osób, niektórzy twierdzą, że drony już za kilka lat będą tak popularne, jak smartfony. Już teraz są wymarzonym prezentem komunijnym dla dzieci. Jednak mimo ich rosnącej popularności nadal niewiele o nich wiemy. Docierają do nas jedynie obiegowe opinie, które nie zawsze mają wiele wspólnego z prawdą. O jakich stereotypach mowa? Prezentujemy zestaw najczęstszych mitów o dronach.

Mit: Pierwsze drony stworzyło wojsko

Nie jest to do końca prawdą. W rzeczywistości pierwowzorem dronów były niewielkie latające samoloty dla dzieci. Podobnie, jak samochody-zabawki były zdalnie sterowane radiowo. Pomysł zainteresował Amerykanów, którzy w trakcie I wojny światowej skonstruowali automatycznie sterowany samolot Hewitt-Sperry, którego nazwa pochodzi od nazwisk jego wynalazców – Elmera Sperry i Petera Coopera Hewitta. Dziś drony są powszechnie wykorzystywane w wojsku, także w Polsce.

Mit: Drony mogą bezpowrotnie odlecieć

Tak i nie. Niektóre drony rzeczywiście mogą odlecieć, gdy mocniej zawieje wiatr, a operator nie będzie w stanie go sprowadzić z powrotem. Dotyczy to jednak głównie tanich, nieprofesjonalnych modeli. Specjalistyczne drony mają wmontowany GPS, czyli system nawigacji satelitarnej,

który umożliwi nam sprowadzenie urządzenia lub pokaże jego lokalizację.

Jednak nawet najlepsza technologia nie zastąpi zdrowego rozsądku. Na początku, tuż po kupnie drona, kiedy nie umiemy się nim posługiwać, warto nieco poćwiczyć. Najlepiej uczyć się na rozległych przestrzeniach, w których nie ma drzew i linii wysokiego napięcia. Wybierzmy też pogodny dzień, aby nic nam nie utrudniało „pilotowania" drona.

Mit: To tylko zabawka

Drony mają szereg zastosowań, a wykorzystywanie ich do rozrywki jest jedynie jednym z nich. Są używane w badaniach naukowych, szczególnie w monitorowaniu obszarów podbiegunowych. Wykonują pomiary grubości warstwy ozonowej czy zliczają populację fok. Mierzą także grubość lodu i badają zanieczyszczenia atmosferyczne. Ale to nie jedyne obszary ich zastosowania. – Drony coraz częściej wykonują faktyczną pracę, wykraczającą poza obszar badawczy i standardowe prowadzenie pomiarów. Mogą także „pracować" na trudnych terenach, niebezpiecznych dla człowieka i przykładowo przeciągać liny pilotażowe. Drony są też chętnie używane przy budowie linii elektrycznych i mostów – wylicza Filip Janerka, prezes KD Aerial Technology. - Zastosowań jest coraz więcej i tak naprawdę dopiero uczymy się, jak wykorzystywać te sprytne urządzenia – zapewnia.

Pamiętajmy też, że dron, choć przypomina zabawkę, to jego użytkownicy powinni wykazać się wyobraźnią, szczególnie, gdy w pobliżu są inni ludzie. Podstawową zasadą jest pozostawianie drona w zasięgu wzroku.

Mit: Potrafią jedynie filmować teren

Technologia dronów jest stale unowocześniana. Mogą coraz dłużej pozostać w powietrzu i więcej unieść (na przykład ciężką paczkę lub sprzęt), dlatego firmy prześcigają się w pomysłach na wykorzystanie dronów, aby przyciągnąć klientów. Internetowy sklep Amazon zapowiada dostarczanie przesyłek za pośrednictwem dronów. Nad dostawami przy użyciu bezzałogowych statków powietrznych pracuje też niemiecka firma DHL. Z kolei sieć amerykańskich pizzerii Domino's chciałaby, aby drony dostarczały ich pizzę, czego dowód pokazano na filmie promocyjnym sieci. O akcji promocyjnej rozpisywały się media i choć pomysł pozostaje wciąż w sferze marzeń, to pokazuje, że drony przyciągają zainteresowanie, o które zabiegają marki. Wykorzystała to restauracja Yo! Sushi w Londynie, gdzie drony unoszą tace z zamówieniem klientów i serwują im jedzenie. Urządzeniami sterują z niewielkiej odległości kelnerki.

Są też inne pomysły. Amerykańska firma Google planuje umieścić drony w przestrzeni na wysokości 20 kilometrów nad poziomem morza. Po co? Aby dostarczyć połączenie internetowe za pośrednictwem drona, tam, gdzie do tej pory było to niemożliwe. Chodzi o mieszkańców najmniej zamożnych terenów na świecie, którzy wcześniej nie korzystali z internetu.

Drony są też chętnie wykorzystywane w przemyśle reklamowym i filmowym. W telewizji możemy zobaczyć wiele reklam, które zostały nakręcone kamerą unoszącą się na dronie. W Hollywood także coraz chętniej operatorzy kręcą sceny za pośrednictwem dronów. Wykorzystano je m.in. w filmach „Insterstellar" czy „Iron Man".

Sosnowieckie Centrum Sztuki - Zamek Sielecki
Dział Regionalno - Edukacyjny
zaprasza na wystawę

Zagłębie z powietrza

Michał Radka

f o t o g r a f i a

17.06.2016 godz. 17.00
otwarcie wystawy

14.09.2016 godz. 17.00
„Moja podniebna przygoda"
spotkanie autorskie
z Michałem Radką

18.06 - 18.09.2016

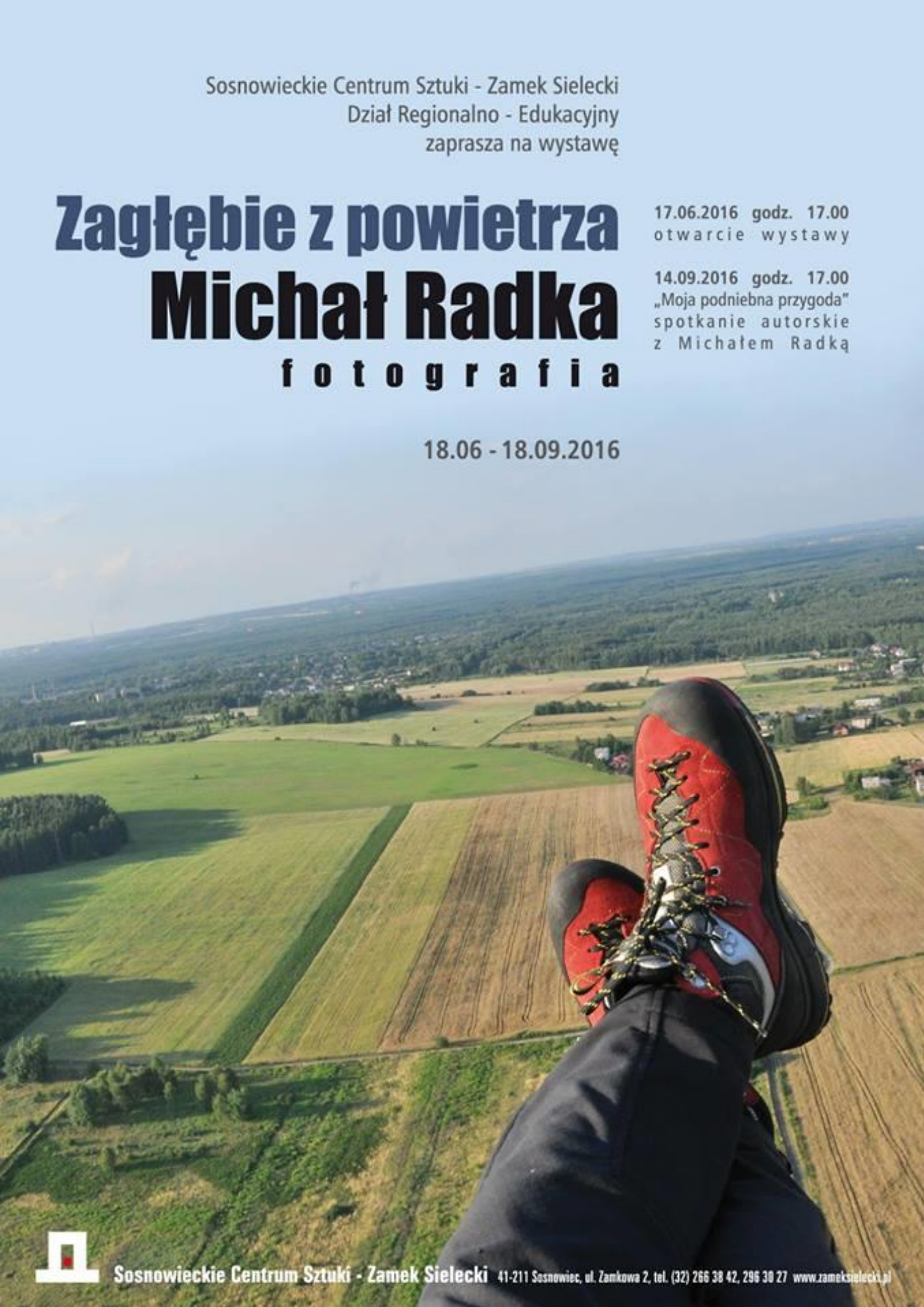

Sosnowieckie Centrum Sztuki - Zamek Sielecki 41-211 Sosnowiec, ul. Zamkowa 2, tel. (32) 266 38 42, 296 30 27 www.zameksielecki.pl

Jak oczyścić świat z min i starych pocisków

Każdego roku na świecie dochodzi do ok. 1,5 tys. wypadków spowodowanych wybuchami np. min czy pocisków pozostałych w ziemi po konfliktach zbrojnych. Polscy naukowcy opracowali zestaw narzędzi, pozwalający na bezpieczne i szybkie ich unieszkodliwienie.

Podczas konfliktów zbrojnych około 5 proc. pocisków i rakiet nie ulega detonacji, ale pozostaje w ziemi, zagrażając ludziom, którzy po zakończeniu wojny osiadają na terenach, na których toczyły się walki. Według statystyk, rocznie około 1,5 tys. wypadków z udziałem ludzi, powodują pozostałości po różnego rodzaju konfliktach zbrojnych. Przykładów wcale nie trzeba szukać bardzo daleko. 40 proc. obszaru Chorwacji pozostaje niedostępna ze względu na tkwiące w ziemi miny. Miejscem, które - nawet po zakończeniu wojny - będzie musiało mierzyć się z podobnym problemem jest obecnie Syria - podaje prof. Adam Januszko z Wojskowego Instytutu Techniki Inżynieryjnej im. J. Kosackiego we Wrocławiu.

W Polsce na miny wciąż można natknąć się w sporej części lasów, w których tkwią pozostałości po II wojnie światowej. "W Polsce proces rozminowywania będzie trwał jeszcze przez dziesięciolecia. Dzisiaj cokolwiek znajdujemy w ziemi wymaga wywiezienia na poligon i detonacji. My staramy się ten problem rozwiązać w nieco inny sposób" - mówi PAP prof. Januszko.

Jego zespół opracował zestaw pięciu narzędzi do skutecznego i szybkiego neutralizowania min przeciwpiechotnych i

Foto: Krzysztof (Kriss) Szkurlatowski; Freeimages.com

kasetowych bez ich detonacji. Prace realizowano w ramach międzynarodowego projektu o akronimie TIRAMISU. Komisja Europejska sfinansowała go kwotą 13,5 mln euro, angażując w prace partnerów z 26 krajów. Narzędzia opracowane przez Polaków będą używane np. w czasie akcji

humanitarnych organizowanych przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

"Opracowaliśmy niemal od nowa dwa rodzaje neutralizatorów min: wybuchowy i termiczny. Ten pierwszy z ładunkiem wybuchowym w postaci 75 gramów trotylu, który kierowany jest na minę, powoduje zniszczenie jej zapalnika. Drugi to granat zapalający, który wykorzystując wysoką temperaturę - ponad 2,5 tys. st. C. - przepala zapalnik, korpus miny i wypala materiał wybuchowy. Dzięki temu pozostaje sama skorupa - całkowicie bezpieczna i nieszkodliwa" - opisuje prof. Januszko.

Foto: Natalia Anna Kozlowska; Freeimages.com

O skuteczności neutralizatora decyduje sposób umiejscowienia go w stosunku do miny, odległość i kąt uderzenia. Dla każdej dokładnie zlokalizowanej wcześniej miny, odpowiednio przeszkolony człowiek ustawia parametry. Wybiera też, który neutralizator będzie skuteczniejszy. Jedno urządzenie niszczy jedną minę i nie można go powtórnie używać.

Naukowcy opracowali też metodę chemicznego rozkładu heksogenu - materiału wybuchowego o największej prędkości detonacji, wykorzystywanego w wielu pociskach i minach. "Nasza metoda pozwala na niewybuchowe niszczenie heksogenu i uzyskanie całkowicie nietoksycznych produktów jego rozkładu: wody i dwucząsteczkowego azotu" - opisuje rozmówca PAP.

Foto: Krzysztof (Kriss) Szkurlatowski; Freeimages.com

Zestaw uzupełniają jeszcze: prosty w obsłudze zbiornik do przewożenia i przechowywania materiałów wybuchowych - tych, których np. nie udało się zneutralizować; oraz trał naciskowy - rodzaj niewielkiego, wieloelementowego walca, który można dołączyć do każdego ciągnika rolniczego i przeprowadzać akcję rozminowania. "W wyniku zadziałania odpowiedniego nacisku, trał powoduje detonację min przeciwpiechotnych" - wyjaśnia prof. Januszko.

W przyszłości naukowcy chcieliby opracować też sposób na całkowitą neutralizację bardzo dużych min i pocisków, w miejscu, w którym je znaleziono. "W Warszawie w czasie budowy metra odkryto kilka takich obiektów - jeszcze z czasów II wojny światowej - które ważyły 50-150 kg, a zdarzają się i większe. Takie +znalezisko+ to duże zagrożenie, bo trzeba wydostać je z ziemi, przewieźć na poligon i tam zneutralizować. Taka operacja - w miejscu gdzie jest dużo budynków i intensywny ruch miejski - jest bardzo niebezpieczna" - opisuje prof. Januszko.

Zespół na swoje rozwiązania zgłosił już sześć patentów, a kolejny jest w trakcie opracowywania. Badacze podpisali też umowę z polskim odbiorcą, który ich produkty chce sprzedawać za granicę. Partnerem jest też jordańska firma, która poznała polskie rozwiązania na wystawie uzbrojenia SOFEX 2016 w Ammanie i będzie promowała je w krajach Bliskiego Wschodu. Trwają obecnie rozmowy na dostawę 10 tys. sztuk neutralizatorów.

Pomysły naukowców nagradzano na licznych targach wynalazczości na całym świecie m.in. na Międzynarodowej Wystawie Wynalazków ITEX w Kuala Lumpur; Międzynarodowej Wystawie Technicznych Innowacji, Patentów i Wynalazków „Invent Arena 2016" w czeskim Trzyńcu; Międzynarodowej Wystawie Wynalazczości „International Exhibition of Inventions of Geneva". Zestaw narzędzi do rozminowania został też zauważony i wyróżniony - dyplomami za najlepszy wynalazek - przez National Research Council of Thailand oraz First Institute Researchers and Inventors in Iran.

Źródło: Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl

PAP - Nauka w Polsce, Ewelina Krajczyńska

5 zwyczajów gastronomicznych, o których nie miałeś pojęcia

Świat ludzkich kultur jest nieskończenie różnorodny. Ogóle zasady, którymi rządzi się kultura, są jednak uniwersalne. Nie inaczej jest z dobrymi manierami przy stole. Co kraj, to obyczaj, przed samym obyczajem jednak nie ma ucieczki. Przy stole czy na liściu bananowca, widelcem, ręką, czy pałeczką – niezależnie od tego, jak nasi gospodarze spożywają posiłek, ich zachowaniem kierują jasno określone zasady. Szacunek dla zwyczajów panujących w kraju, który odwiedzamy, to zaś najlepszy sposób, by zaskarbić sobie sympatię miejscowych. Zapraszamy na przygotowany przez centrum lotnicze Sky4Fly.net przegląd 5 kulturowo istotnych zwyczajów gastronomicznych.

Tajlandzka etykieta widelcowa

Foto: filippo belli; Freeimages.com

Jesteś w Tajlandii. Podano do stołu. Oddychasz z ulgą, bo nigdzie nie widzisz pałeczek, którymi w ogóle nie potrafisz się posługiwać. Zastawa obejmuje łyżkę i widelec. Jest dobrze, ale musisz być czujny. Tajowie posługują się widelcem w specyficzny sposób. Przytrzymują nim jedzenie, które porcjują przy użyciu łyżki. Następnie używają go, by przenieść porcję na łyżkę i podać ją do ust. Jedzenie bezpośrednio przy użyciu widelca nie skończy się pewnie awanturą przy stole, ale może zostać odebrane jako nietakt, podobnie jak branie noża do ust w Europie. Tego ostatniego zresztą tradycyjnie nie używa się przy stole na całym Dalekim Wschodzie. Nóż postrzegany jest jako broń, a kultura wymaga, by do stołu zasiadać w pokojowych zamiarach.

W Chinach? Ostrożnie z tymi pałeczkami!

foto: Penny Mathews; Freeimages.com

Pałeczki to najpopularniejsze sztućce na świecie. Liczba codziennych użytkowników obejmuje ponad 2 miliardy ludzi. To jednocześnie, obok łyżki, jeden z najstarszych rodzajów sztućców. Nic

dziwnego, że w Chinach, tworzących najstarszą nieprzerwanie istniejącą cywilizację świata, sposób posługiwania się pałeczkami reguluje rozbudowana i uświęcona tradycją etykieta. Za niegrzeczne uznaje się stukanie nimi o naczynia czy używanie ich do gestykulacji. Przede wszystkim warto jednak pamiętać o tym, aby nigdy nie wbijać ich na sztorc w pożywienie. Czynność tę Chińczycy kojarzą bowiem z wyglądem posiłków składanych jako ofiara rytualna dla zmarłych.

Na Bliskim Wchodzie leworęczni nie mają łatwo

Foto: Ove Tøpfer; Freeimages.com

W wielu miejscach na Bliskim Wschodzie i w Indiach branie pokarmu w lewą rękę uchodzi za łamanie tabu. Między rękoma zachodzi dyktowany obyczajem podział pracy. Prawa ręka służy do jedzenia i wielu innych szlachetnych czynności, lewa zaś ma do wykonania cokolwiek mniej przyjemną robotę. Warto pamiętać, że do niedawana i w Europie „niewłaściwe" posługiwanie się lewą ręką narażało na nieprzyjemności.

W Japonii dobrze jest sobie siorbnąć

Wszyscy go znamy, prawda? Tego gościa, który siorbie zupę przy stole lub funduje symfonię mlaskania wszystkim

uczestnikom biesiady. Cóż, u nas budzi zażenowanie, a w Japonii byłby mistrzem taktu. W Kraju Kwitnącej Wiśni głośne siorbanie i mlaskanie jest akceptowane jako sposób delektowania się posiłkiem oraz mile widziane jako komplement dla umiejętności kucharskich gospodarza.

***Foto:** Kathy de la Cruz; Freeimages.com*

Czyścimy talerze?

To zależy od tego, gdzie akurat przebywamy. We Francji czy w Japonii niedojedzenie posiłku może zostać odebrane jako znak dezaprobaty dla talentów kulinarnych gospodarza. Inaczej jest w Chinach. Tutaj w dobrym tonie jest zostawić co nieco na talerzu. Gospodarz odbierze to jako znak, że nie zabrakło nam jedzenia oraz poczuje, że jego hojność była wystarczająca. Zostawiając pusty talerz, mimowolnie dajemy sygnał, że jedzenia było za mało, sprawiając przykrość osobom, które nas goszczą. - Zawsze warto zawczasu poszukać informacji o zwyczajach kulinarnych panujących w kraju, do którego planujemy podróż. Obok pakowania, rezerwacji hotelu, zakupu biletów i zaplanowania pobytu, przygotowanie kulturowe powinno stanowić ważny etap przygotowań świadomego podróżnika – opowiada Piotr Chalimoniuk ze Sky4Fly.net

Porty Wysp Kanaryjskich, do których warto zacumować tego lata

Bezmiar morza, zapach soli i delikatny powiew atlantyckiej bryzy dają poczucie wolności i spełnienia. Wrażenia te stają się jeszcze intensywniejsze podczas dalekiej wyprawy łodzią. Bez względu na to, czy korzystamy z siły wiatru, czy też ze wspomagania silnikiem, pływanie jachtem jest niezwykłym przeżyciem. Na Wyspach Kanaryjskich przygoda ta smakuje jeszcze lepiej, a to ze względu na wyjątkowy klimat morski. Umiarkowane, występujące przez cały rok temperatury sprawiają, że Wyspy uważane są za „***miejsce o najlepszym na świecie klimacie***”**.** Dzięki występującym w regionie pasatom, stałym ciepłym wiatrom o umiarkowanej sile, każde wyjście w morze staje się niezwykle przyjemnym i niezapomnianym doświadczeniem.

Żeglowanie pomiędzy wszystkimi siedmioma wyspami archipelagu daje możliwość poznania linii brzegowej Kanarów z nieco odmiennej perspektywy. Po wypłynięciu na kilka mil w morze, oczom ukazuje się **najwyższy szczyt Hiszpanii** – wulkan Teide, dominujący nad jednym z czterech znajdujących się na archipelagu parków narodowych. Wznosi się on na wysokość 3.700 metrów i za dnia pełni rolę naturalnej, wskazującej drogę na archipelag, latarni morskiej.

Malownicze **turkusowe wody** okalające wyspy **oraz rozsiane wzdłuż wybrzeża cudowne plaże,** zachęcają gości do zrzucenia kotwicy i kąpieli w pobliżu pozostałości prastarych podwodnych wulkanów. Widoczne na lądzie niezwykłe krajobrazy oraz potężne wulkaniczne szczyty uwodzą żeglarzy i zachęcają, by, wykorzystując fale oraz **wypełniające żagle pasaty,** skierować łodzie do brzegu. Za sprawą niezwykłej biologicznej różnorodności wysp, urozmaiconych krajobrazów i licznych formacji geologicznych, archipelag został uznany za rezerwat biosfery i wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Foto: Indre Velaviciute; Freeimages.com

Strategiczna lokalizacja i występowanie korzystnych wiatrów międzyzwrotnikowych sprawiło, że Wyspy Kanaryjskie pochwalić się mogą bogatymi i długimi tradycjami żeglarskimi. Przez setki lat żeglarze korzystali z archipelagu jak z bazy umożliwiającej pokonanie oceanu z wykorzystaniem wyłącznie siły wiatru. Wyspy od zawsze były portem, do którego zawijano podczas transatlantyckich podróży. **Archipelag odwiedził nawet Krzysztof Kolumb udający się na poszukiwanie Nowego Świata.** Dzisiaj do portów na Wyspach Kanaryjskich zawijają uczestnicy licznych zawodów żeglarskich i regat, gdzie mogą odnowić zapasy oraz wykonać wszelkie niezbędne naprawy.

Bogate tradycje żeglarskie

Za sprawą bogatych tradycji żeglarskich, archipelag stał się popularny wśród znanych w świecie sportu postaci. W nowoczesnych obiektach rozsianych wzdłuż linii brzegowej trenowało wielu medalistów olimpijskich, rywalizujących w dyscyplinach wodnych o wszystkich poziomach trudności.

Żeglowanie na łodziach klasy **Finn, 470, Flying Dutchman, Soling, Tornado, Star, Laser oraz Vela Latina** jest rozrywką, która cieszy się na Wyspach dużą popularnością. Liczne szkółki żeglarskie pozwalają nauczyć się żeglowania od podstaw lub udoskonalić posiadane już umiejętności.

Obserwowanie wielorybów, delfinów i morświnów w ich naturalnym środowisku

Tuż u wybrzeży Wysp Kanaryjskich spotkać można wiele gatunków zwierząt morskich – do najczęściej występujących należą **grindwale krótkopłetwe, delfiny butelkonose, humbaki, a także ogromne żółwie.** Wyjątkowy spektakl, w którym główną rolę odgrywa bogata fauna archipelagu, może być obserwowany o dowolnej porze roku. Ze względu na sprzyjający klimat, wiele gatunków uczyniło z archipelagu całoroczną siedzibę, dzięki czemu Wyspy uznawane są za najlepsze miejsce w Europie do obserwowania morskich zwierząt w ich naturalnym środowisku.

Wieloryby można obserwować podczas rejsów odbywających się na charakterystycznych niebieskich łodziach „Barco Azul”, których kapitanowie przestrzegają surowych reguł, pilnując, aby walenie zamieszkujące wody wokół Wysp Kanaryjskich nie były niepokojone i stresowane.

Foto: Indre Velaviciute; Freeimages.com

Bezpieczne porty

Na wszystkich siedmiu wyspach znajdują się liczne, w pełni wyposażone mariny, zlokalizowane w bezpośrednim sąsiedztwie centrów usługowych. Komfortowe i atrakcyjne porty Wysp Kanaryjskich są miejscem, w którym zdecydowanie warto zacumować tego lata.

Lanzarote

- **Marina Puerto Calero:** oaza spokoju i bezpieczeństwa na południowym krańcu Lanzarote. Oferuje wszystkie usługi, których mogą potrzebować zarówno łodzie, jak i ich pasażerowie – od napraw szkutniczych, przez magazyny i luksusowe apartamenty, aż po restauracje i dostęp do Internetu. Wokół portu usytuowane są liczne sklepy żeglarskie. W marinie znajduje się 446 stanowisk zdolnych pomieścić łodzie o długości od 8 do 75 metrów. Na wyposażeniu portu znajduje się również dźwig bramowy o nośności 100 ton. Przewidywalne wiatry wiejące w rejonie Puerto Calero oraz przejrzysta woda stanowią doskonałe warunki do stawiania pierwszych kroków w dziedzinie sportów wodnych. Dzięki pobliskim centrom handlowym i hotelom, okolica ta jest również idealnym miejscem wypoczynku i relaksu. Całodobowy monitoring oraz przechowalnia bagażu umożliwiają korzystanie z wszystkich atrakcji regionu zarówno w dzień, jak i w nocy bez obaw o bezpieczeństwo.

Foto: Gernot Keller, London (www.gernot-keller.com); Wikimedia Commons; Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 2.5.

Fuerteventura

- **Marina El Castillo:** położona w miejscowości Caleta de Fuste, na wschodnim wybrzeżu wyspy, jest oddalona o niecałe dziesięć minut drogi od Puerto del Rosario oraz lotniska Fuerteventura. 100 stanowisk o maksymalnym zanurzeniu do pięciu metrów pozwala przyjąć łodzie o długości dochodzącej do 16 metrów. W bezpośrednim sąsiedztwie mariny można uprawiać wszystkie rodzaje sportów wodnych: od szaleństwa na wypożyczonym skuterze wodnym, przez nurkowanie, aż po wyprawy na pokładzie łodzi podwodnej. Port oferuje toalety i prysznice, jak również suchy dok, żuraw do łodzi

i dźwig bramowy pozwalający na wykonanie niezbędnych prac obsługowych. Dostępna przez całą dobę pomoc we wprowadzaniu i wyprowadzaniu łodzi z miejsc postojowych w połączeniu z 24-godzinnym monitoringiem, sprawia, że postój w Caleta de Fuste jest bezpieczny i komfortowy. Dzięki temu turyści bez przeszkód mogą skupić się na delektowaniu klimatem i wodami wyspy Fuerteventura.

Gran Canaria

- **Marina Pasito Blanco:** posiada 388 stanowisk przeznaczonych dla łodzi o długości do 40 metrów. Położona w bezpośrednim sąsiedztwie popularnej, turystycznej miejscowości Maspalomas, na południu wyspy Gran Canaria. Oferuje swoim gościom szeroki zakres niezbędnych usług i towarów – serwis naprawczy, 70-tonowy dźwig bramowy, a także 24-godzinny monitoring. Tuż obok mariny usytuowane są liczne supermarkety, pralniei kawiarnie.

Teneryfa

- **Puerto Deportivo Los Gigantes**: port, znajdujący się tuż obok jednego z najczęściej fotografowanych punktów na Teneryfie – klifu Los Gigantes – pochwalić się może jednym z najkorzystniejszych mikroklimatów na wyspie. Na turystów i żeglarzy czeka pełna gama rozrywek wodnych odpowiadających wszelkim potrzebom i oczekiwaniom. Do najpopularniejszych należą: wędkarstwo sportowe, nurkowanie, narciarstwo wodne i kajakarstwo, a także obserwowanie wielorybów – jedna z największych atrakcji turystyki rodzinnej. Ta część wybrzeża Teneryfy uznawana jest za jedną z najbardziej malowniczych – spektakularne, pionowe ściany skalne wybijają się wprost z wód Atlantyku, tworząc zapierające dech w piersiach klify o wysokości od 300 do ponad 600 metrów. Nieopodal rozciąga się Park Krajobrazowy Teno, idealne miejsce do odkrywania bogactwa lokalnej flory i fauny oraz odbywania pieszych wędrówek.

La Gomera

- **Marina La Gomera:** największy port na wyspie La Gomera, zlokalizowany na jej wschodnim krańcu, tuż obok stolicy San Sebastián. Oferuje stanowiska dla 335 łodzi o długości do 20 metrów. Do dostępnych w porcie udogodnień należą: stacja benzynowa, monitoring, punkt informacji pogodowej oraz supermarket. Głębokość mariny waha się od ośmiu do dziesięciu metrów. Jej lokalizacja tuż obok centrum miasta sprawia, że jest idealnym miejscem na uzupełnienie zapasów przed ponownym wypłynięciem w rejs.

La Palma

- **Marina Puerto de Tazacorte:** owa przyjazna dla rodzin marina znajduje się w pięknym, zapewniającym naturalne schronienie zakątku w zachodniej części wyspy. Oferuje gościom usługi warsztatu mechanicznego, bezpłatne WiFi oraz pralnię. Na 341 stanowiskach mogą cumować łodzie o długości do 20 metrów oraz o zanurzeniu do trzech metrów. Marina jest wyposażona w 50-tonony dźwig bramowy, podnośnik do łodzi oraz sklep z artykułami żeglarskimi. Na jej terenie działa również centrum nurkowe, korzystające z dobrodziejstw panującego tam przez cały rok umiarkowanego

klimatu. Zachód słońca podziwiany z pokładu zacumowanej w marinie łodzi, czy też kolacja serwowana w przytulnej restauracji pod nocnym niebem La Palmy, to tylko niektóre z niezapomnianych wrażeń, na które mogą liczyć odwiedzający port goście.

El Hierro

- **Marina Puerto de la Estaca:** choć jest to port o charakterze turystyczno-handlowym, posiada 250-metrowe nabrzeże oferujące 120 stanowisk do cumowania. Mogą one przyjmować jachty rekreacyjne o długości do 30 metrów i zanurzeniu do 6,5 metra. Marina jest wyposażona w ruchomą rampę, 40-tonony dźwig bramowy, podnośnik do łodzi oraz suchy dok. La Estaca jest jedynym miejscem na wyspie, w którym mogą cumować statki pasażerskie. Należy o tym pamiętać podczas zbliżania się do nabrzeża, na którym zlokalizowano rozległe centrum handlowe.

Foto: Eva Serna; Freeimages.com

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej

Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul.Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001